Cena 1 rb. 50 kop.

Nowe Widnokręgi

DWUTYGODNIK

Rok V. Nr 5. 1945 r.

OBRAZ RZECZYWISTOŚCI

Cała Polska jest już wyzwolona. Powracają do Macierzy odwieczne polskie ziemie na Zachodzie. Szeroko otwarły się wrota Polski na Bałtyk. Rząd Tymczasowy sprawuje władzę nad całym terytorium Polski, obejmuje administrację ziem odzyskanych. Nowe życie buduje się w Polsce na gruzach hitlerowskiego ładu.

To życie nie buduje się łatwo. Zwierzchnicy przedwojennych władz państwowych w Polsce wyobrażali sobie na emigracji w Londynie, że okres okupacji będzie jedynie przerwą w funkcjonowaniu dawnego aparatu administracyjnego, mniejszą lub większą pauzą, chwilowym „vacuum", po którym wszystko natychmiast powróci do „normy". Hasło „przeczekiwania" takim właśnie osłaniało się szyldem: okupację trzeba po prostu przeczekać, a gdy się skończy — ciągnąć dalej przerwane chwilowo urzędowanie. Na tym fundamencie budowany był przecież cały ich podziemny „aparat": kupowano bierność za cenę przyszłej posady starosty lub komisarza policji.

Rachuby te okazały się zawodne nie tylko dlatego, że w Polsce nie może już być powrotu do sanacyjnych rządów; ale i dlatego, że pięć i pół roku okupacji nie było nieszkodliwą pauzą. Toteż odbudowa Polski, odbudowa władzy państwowej i instytucji publicznych nie jest i nie może być automatyczną kontynuacją tego, co zostało przerwane we wrześniu 1939 roku. Trzeba budować od nowa, trzeba budować inaczej i trzeba budować w warunkach niesłychanie ciężkich.

I kiedy mówimy i piszemy o wielkich dniach, jakie Polska przeżywa, o upojeniu wolnością, o entuzjazmie pracy i walki — nie łudźmy się: życie w Polsce nie jest sielanką. Wieś — zwłaszcza na terenach zachodnich — jest wyludniona, miasta ograbione, ich ludność zdziesiątkowana. Wiele fabryk pozostało bez maszyn, bez surowców, bez możności zatrudnienia robotników. Z 30.000 inżynierów, jakich Polska liczyła przed wojną, obecnie jest 8.000. Podobnie przerzedzone są kadry całej inteligencji zawodowej: lekarzy, nauczycieli, prawników. Wszelkie środki transportowe są w stanie całkowitej dewastacji: brak taboru kolejowego, brak parku samochodowego, brak koni. Dowóz żywności do miasta, dowóz węgla do fabryk staje się w tych warunkach zagadnieniem niesłychanie trudnym. Warszawa, półtoramilionowa stolica kraju, leży w gruzach; a to nie tylko brak siedziby i znośnych warunków bytowania dla wielkiej rzeszy ludzkiej: to także brak centralnego ogniwa w gospodarczym, politycznym, kulturalnym życiu kraju.

Chaos walutowy; chaos w stosunkach gospodarczych i ludnościowych; chaos także często w pojęciach moralnych — oto stan, z którego po okupacji dźwigać trzeba Polskę. A przy tym dźwigać ją trzeba w chwili, kiedy wojna nie jest jeszcze skończona, kiedy główny wysiłek kraju skierowany być musi na jak najrychlejsze osiągnięcie zwycięstwa.

Dopiero w świetle całego tego stanu rzeczy oceniać można poczynania i osiągnięcia naszego Rządu Tymczasowego. Dopiero w świetle tego stanu rzeczy jest jasne, że — pomijając wszelkie inne względy — sam stopień zbiurokratyzowania aparatu państwowego p. Raczkiewicza dyskwalifikował go całkowicie jako możliwego włodarza Polski. Aby dać sobie radę z tym chaosem, trzeba było rządu i aparatu państwowego umiejącego jak najczujniej wsłuchać się w pragnienia mas, umiejącego porwać je za sobą i wykrzesać z nich zapał do pracy, dającego rękojmię, że praca dla państwa jest tym razem naprawdę pracą dla siebie.

Nie pragniemy w tej chwili wyliczać wszystkich osiągnięć naszego rządu w dziele odbudowy; są one znane i powtarzać ich nie ma potrzeby. Ale chcemy stwierdzić, że wszystkie te osiągnięcia uzyskane zostały właśnie w najcięższych warunkach; i ogarnięcie tych trudności jest najlepszym dowodem, że rząd nasz stoi na wysokości swych wielkich zadań, że cieszy się w całym kraju zaufaniem i poparciem, że jest powołany do tego, by nową Polskę budować. Robotnik nieraz dostaje mniej niż mu potrzeba, nie wszystkim trudnościom można od razu zaradzić — ale pracuje i będzie pracował, bo temu rządowi ufa. Chłop nie odbudował jeszcze swej spalonej przez Niemców zagrody — ale świadczenia w naturze złożył i będzie je składał, choć pod Niemcem, mimo terroru, nieraz się od nich uchylał: bo temu rządowi ufa. Działają szkoły, organizują się na nowo uniwersytety, powracają do zajęć kupcy i przemysłowcy — bo ta Polska, która się buduje, to Polska prawdziwa, nie malowana i „mocarstwowa", nie fikcyjna i sezonowa, lecz powstająca ze wszystkiego, co jest w Polsce najlepsze i dla wszystkiego, co jest w Polsce najlepsze.

I reformy społeczne, jakie już dziś rząd nasz przeprowadza w Polsce, są właśnie najwymowniejszym dowodem, że rządzi w Polsce demokracja. Reforma rolna, likwidacja kartelowego wyzysku, demokratyzacja armii, — to właśnie są te hasła, które w Polsce przedwrześniowej były co najwyżej fasadą programów politycznych, ale nie ich treścią; a bez nich rzeczywista odbudowa państwa jest nie do pomyślenia. Warunkiem istnienia Polski w świecie powojennym jest dojście do decydującego głosu tych mas ludowych, które dotychczas tego głosu nie posiadały. Jeśli Polska odrzucić ma to oblicze, jakie posiadała przed r. 1939, musi być zmieciona potęga tych, którzy jej to oblicze nadawali: magnaterii obszarniczej, finansjery kartelowej, kastowości wojskowej „elity".

I to jest prawdziwa demokracja czynu. Bo nie jest jeszcze demokracją ani pozornie postępowa ordynacja wyborcza, jeśli takim lub innym naciskiem wpływać można na wyniki wyborów; i nie jest jeszcze demokracją wolność słowa, kiedy za pieniądze można to słowo kupić. Demokracja — to wyposażenie w rzeczywistą siłę tych rzesz ludowych, które tworzą naród. Tylko wówczas bowiem demokratyczne instytucje służą istotnie demokracji.

Tworzy się w Polsce nowa rzeczywistość. Tworzy ją pod przewodem Rządu Tymczasowego sam naród. Tych, którzy będą usiłowali temu dziełu przeszkodzić, którzy tę budowę będą usiłowali podkopać, naród zmiecie ze swej drogi. Zmiecie ich nie jako przeciwników politycznych czy konkurentów, lecz jako tych, co w chwili najwyższego wysiłku narodowego chcą ten wysiłek osłabić. Któryż to naród nie ma prawa obezwładniać wrogów, usiłujących w czasie wojny osłabić wysiłek zbrojny narodu?

Tworzy się w Polsce nowa rzeczywistość. Choć tworzy się w trudzie i znoju, jest to po raz pierwszy od wieków twórczość prawdziwie radosna.

KASSJUSZ

SĄD NAD MUSSOLINIM

TRZECI DZIEŃ PROCESU

Przewodniczący. Rozpatrzyłem apelację obrońcy w sprawie anulowania aktu oskarżenia. Odbyłem również naradę z prokuratorem generalnym. Ze względu na to, iż jest to proces tak wyjątkowy, oraz że obrońca omówił jedną tylko część oskarżenia, nie mogę uczynić zadość jego prośbie, jeśli dotyczy ona aktu oskarżenia w całości. Jednakże po naradzie z prokuratorem generalnym doszliśmy do kompromisu. Zgadza się on, jeśli dogadza to obronie, skreślić pierwszą część aktu oskarżenia. Gotów jest oprzeć swe oskarżenie na pozostałych punktach. Jeśli ta propozycja obronie odpowiada, proponuję panu obrońcy, by w dalszych swych uwagach ograniczył się jedynie do pozostałych punktów aktu oskarżenia, ignorując całkowicie część pierwszą.

Obrońca. Zgadzam się. Jestem doprawdy głęboko wdzięczny za to rozstrzygnięcie. Myślę jednak, że nie będzie mi to poczytane za zarozumiałość, jeśli, zanim przejdę do analizy pozostałych części oskarżenia, zatrzymam się na chwilę na znaczeniu tej decyzji. Oznacza ona, że panowie przysięgli muszą się wyrzec całkowicie wszelkich uprzedzeń w stosunku do oskarżonego, jeśli chodzi o jego faszystowskie poglądy i metody, jakimi wprowadził dyktaturę faszystowską we Włoszech. Obecnie jest to nie tylko wymaganie obrony. Zgodził się z tym również rząd. Prokurator generalny zgodził się, że potępić oskarżonego jako faszystę— znaczyłoby to stworzyć tyle komplikacji, subtelności i trudności, że popieranie oskarżenia okazałoby się niemożliwe. Toteż procedura tego procesu uzgodniona została z praktyką i zasadami polityki zagranicznej, jaka panowała w czasie, gdy oskarżony dochodził do władzy. Podobnie, jak sir Austin Chamberlain uważał, że wewnętrzne sprawy obcego państwa jego nie dotyczą, tak samo niniejszy sąd nie powinien uważać poczynań oskarżonego w jego własnym kraju za właściwy przedmiot swych rozważań.

Obecnie niech mi będzie wolno przejść do następnych punktów aktu oskarżenia. Dogodne będzie dla moich celów, i jak sądzę nie spowoduje sprzeciwów sądu, jeśli zajmę się kilkoma punktami naraz. Oskarżenie przypisuje dalej podsądnemu ustawiczne gwałcenie przyjętych dobrowolnie zobowiązań międzynarodowych. W szczególności powołuje się ono na zdradziecki podbój Abisynii i zdradziecką wojnę w Hiszpanii. Następnie zarzuca się oskarżonemu, że coraz intensywniej popierał Niemcy hitlerowskie w ich agresji przeciwko państwom niepodległym. Te punkty chciałbym rozpatrzeć razem. Do dalszego rozpatrzenia pozostaną poczynania oskarżonego w wojnie obecnej, które moim zdaniem należą do nieco innej kategorii.

I znów prosić muszę sąd o cierpliwość w celu wysłuchania długotrwałych pytań krzyżowych. Poprzedzę je kilku uwagami ogólnymi, które dadzą pojęcie o kierunku mojej argumentacji.

Przede wszystkim stwierdzić muszę, że prokurator generalny wydaje się niezwykle wzburzony tym, co kwalifikuje nieodmiennie, jako zdradę ze strony oskarżonego. Zdrada wobec kogo? Zdrada jest to przestępstwo, które całkiem ściśle można ustalić. By jednak mogło ono być ustalone, istnieć musi państwo, wobec którego oskarżony dopuściłby się zdrady. W danym wypadku nie ma o tym mowy, bowiem na dowód wiarołomności oskarżonego prokurator generalny przytoczył cały szereg pogwałceń zobowiązań międzynarodowych. Cóż więc w takim razie ma na myśli? Mogę tylko przyjąć, że używa on słowa „zdradziecki" w znaczeniu znacznie szerszym i ogólniejszym. Prokurator generalny zarzuca oskarżonemu, że swym postępowaniem oszukał on tych, których swymi mowami przekonał, że mogą mu ufać. Jeśli prokurator generalny to ma na myśli,— a przekonany jestem, że tak jest — mogę tylko wątpić, czy posiada on w ogóle jakiekolwiek podstawy dla swych oskarżeń. Wydaje mi się, że w stosunkach międzynarodowych oskarżony zaprezentował się, jako jeden z najbardziej konsekwentnych mężów stanu naszych czasów. Poczynając od napaści na Korfu w roku 1923 aż do napaści na Albanię w roku 1939 zasady polityki międzynarodowej, jakie oskarżony wyznawał i przeprowadzał, wydają się jednolite, niezmienne, ba! niemal monotonne. Pomyślnie wypadłoby dlań na przykład porównanie jego postępowania z konsekwencją osób w rodzaju lady Astor, która była zaciekłym wrogiem Niemiec w roku 1919, zaciekłym ich przyjacielem w roku 1938 i znów zaciekłym wrogiem w roku 1943.

Zwróciłem już uwagę sądu na fakt, iż oskarżony ogłosił niektóre spośród tych zasad polityki zagranicznej, jakie następnie realizował, już w roku 1919, 1920 i 1921. W latach następnych w dalszym ciągu w tym samym kierunku informował swych współczesnych. W październiku roku 1926 złożył on wizytę w Afryce, podczas której mówił o morskim posłannictwie Włoch i o ich dążeniu do opanowania Morza Śródziemnego — „włoskiego jeziora". W maju roku 1927 przepowiadał, że między r. 1935 i 1940 Europa osiągnie „krytyczny moment swych dziejów", i że Włochy powinny móc wówczas powołać pięć milionów ludzi pod swe sztandary. W marcu 1928 roku zboczył ze swej drogi, by odrzucić aforyzm, iż faszyzm nie jest artykułem na eksport. „Zdanie to — oświadczył — jest dla mnie zbyt banalne. Dziś twierdzę, że faszyzm jako idea, doktryna, realizacja — jest uniwersalny. Można przewidzieć istnienie Europy faszystowskiej, Europy, która czerpać będzie natchnienie dla swych instytucji z doktryn i praktyk faszyzmu, Europy, która w faszystowskim duchu rozwiązuje zagadnienia współczesnego państwa. Legenda, że Włosi nie są żołnierzami, musi zostać rozwiana, bo zarówno wczoraj jak i dziś o roli narodów decyduje niemal wyłącznie ich chwała bojowa i ich siła zbrojna. Włochy faszystowskie — to niezliczony legion, maszerujący pod historycznym symbolem rzymskiego liktora ku wspanialszemu jutru, i nikt powstrzymać go nie zdoła".

Trudno byłoby znaleźć choćby jeden rok, w którym oskarżony zaniedbałby ostrzegania w podobny sposób świata o swych zamiarach. „W ciągu dziesięciu lat — oświadczył w roku 1932 — Europa ulegnie zmianie i będzie faszystowska lub sfaszyzowana. Przeciwieństwo, które pęta współczesną kulturę, może być rozwiązane w jeden tylko sposób — przy pomocy doktryny i mądrości Rzymu". I znów w roku 1934: „Wojna jest dla mężczyzny tym, czym macierzyństwo dla kobiety. Nie wierzę w wieczny pokój". Aby nikt nie pomyślał, że były to tylko frazesy z programu partyjnego, niech mi będzie wolno zacytować wyjątek ze słynnego artykułu, jaki napisał oskarżony dla Encyklopedii Włoskiej. „Nade wszystko — czytamy w nim — faszyzm nie wierzy ani w możliwość, ani w pożyteczność wiecznego pokoju. W ten sposób odrzuca on pacyfizm, powstały z wyrzeczenia się walki i tchórzostwa w obliczu ofiary. Tylko wojna doprowadza do najwyższego napięcia całą energię człowieka i znaczy stygmatem szlachetności naród, który ma odwagę wyjść jej na spotkanie".

Jasne jest z tych cytat, że oskarżony celów swych nie maskował. Gdzież więc w takim razie jest oszustwo lub zdrada? Naturalnie, oskarżenie oświadczyć może z całkowitym uzasadnieniem, że rozporządza równie licznymi pokojowymi oświadczeniami podsądnego. Jestem tego pewny. Nawet jednak jeśli tak jest, cóż na tym oskarżenie wygrywa? Proszę mi pozwolić przytoczyć przykład pospolity z dziedziny kroniki kryminalnej. Ktoś znany jest jako wytrawny złodziej. Sądzony był wielokrotnie; jednakże w krótkich chwilach, jakie spędza na wolności, ma zwyczaj zapewniać swych kompanów w szynku, że odwrócił nową kartę i odtąd nic kraść nie będzie. Oświadczenie tego rodzaju będzie w każdym razie przyjęte nieco podejrzliwie, przynajmniej zanim nie upłynie dość długi okres próbny, nie splamiony żadną nową nieszczęsną recydywą. Nikt jednak nie będzie przykładał szczególnego znaczenia do tych cnotliwych oświadczeń, jeśli będą się one przeplatały z częstymi, brutalnymi i niepowstrzymanymi wybuchami, podczas których stary recydywista ostrzega wszystkich okolicznych gospodarzy, by lepiej doglądali swego dobytku, bowiem on reperuje swe narzędzia, zamierzając ich użyć, gdy tylko nadarzy się okazja, i życie występne uważa w istocie za jedynie godne i szczytne zajęcie dla człowieka. Niewątpliwie człowiek ten pozostanie przestępcą. Któż jednak zarzuci mu oszustwo lub zdradę?

Jednakże, panowie przysięgli, by dowieść, że podsądnego nie można oskarżać o zdradę w zwykłym znaczeniu tego słowa, proponuję oprzeć się nie tylko na tych ogólnych wyznaniach samego oskarżonego, lecz i na godnych uwagi zeznaniach, które panowie usłyszą z ust niektórych świadków.

Zanim ich wezwę, chcę zakończyć swe uwagi wstępne co do zdrady. Przez zdradę, jak już powiedziałem, rozumie się zdradzieckie postępowanie w stosunku do kogoś; w danym wypadku, zgodnie z aktem oskarżenia, w stosunku do obyczajów moralności międzynarodowej. Pogwałcenie tak wielu zobowiązań międzynarodowych — oto, czym tak głęboko wstrząśnięty jest prokurator generalny. Pragnąłbym wiedzieć, skąd on i rząd, który go instruował, czerpał poglądy tak surowe na etykę międzynarodową? Informacja ta byłaby bardzo interesująca i nader właściwa dla naszego procesu. Dopóki nie może on wskazać określonego paragrafu prawa międzynarodowego, którego trzymałaby się znaczna większość mężów stanu i który pogwałciłby oskarżony, nie widzę, w jaki sposób może on domagać się od sądu uchwalenia wyroku.

Proszę panów przysięgłych, by okoliczność tę mieli na uwadze w czasie badania świadków. Muszę panów zapewnić, że podnoszę tę sprawę nie w nadziei uzyskania uniewinnienia dla mego klienta przez oskarżenie innych o to samo przestępstwo. Nie odpowiadałoby to moim celom. Byłoby może rzeczą słuszną, by ktoś inny również zasiadł na ławie oskarżonych, nie pomogłoby to jednak do uratowania mego klienta. Będę usiłował dowieść nie tylko tego, iż obyczaje moralności międzynarodowej, które jakoby lekceważył oskarżony, nie były ściśle określone, przynajmniej w pojęciu większości ludzi wybitnych i odpowiedzialnych. Spróbuję również dowieść, że w takim stopniu, w jakim obyczaje te były ustalone, oskarżony jest stosunkowo niewinny.

Obecnie wezwę mego pierwszego świadka, Lorda Kanclerza, lorda Simona.

(Lord Simon zajmuje miejsce na trybunie świadków)

Obrońca. Lordzie Simon, kiedy został pan ministrem spraw zagranicznych?

Simon. W roku 1932.

Obrońca. A kiedy opuścił pan to wysokie stanowisko?

Simon. W roku 1935.

Obrońca. Nie mam bynajmniej zamiaru, lordzie Simon, omawiać szczegółowo pańskiej działalności na tym stanowisku. Nie zamierzam na przykład wypytywać pana o pańskie stosunki z Japonią. Nas interesuje oskarżony. Jednakże prosiłbym pana o pomoc w ustaleniu niektórych faktów wstępnych, które — jak tego spodziewam się dowieść — mają pewien związek ze sprawami włoskimi. Zdaje się, że 7 marca 1932 roku na Zgromadzeniu Ligi Narodów wygłosił pan przemówienie, zawierające aluzję do zobowiązań członków Ligi w sprawie terytoriów zagarniętych siłą. Czy nie mógłby pan zacytować sądowi własnych słów o znaczeniu tych zobowiązań?

Simon. Zmiany, dokonane nie drogą porozumienia i pokojowego załatwienia, lecz przy pomocy środków sprzecznych z regulaminem i Paktem Paryskim, rzecz prosta, nie mogą uzyskać aprobaty członków Zgromadzenia Ligi Narodów, która istnieje właśnie w celu strzeżenia tych zobowiązań i tych zasad.

Obrońca. W cztery dni po tym przemówieniu Zgromadzenie Ligi uchwaliło rezolucję, niewątpliwie w znacznej mierze zredagowaną pod pana wpływem. Czy nie mógłby pan przytoczyć nam punktów tej rezolucji? Nie ma pan powodów się wahać. Rezolucja ta była już cytowana na tej sali przez prokuratora generalnego, podpisał ją bowiem również przedstawiciel oskarżonego w Genewie.

Simon. Zgromadzenie oświadcza, iż „członkowie Ligi Narodów zobowiązują się nie uznawać żadnej sytuacji, traktatu ani porozumienia, które mogą być osiągnięte przy pomocy środków sprzecznych z regulaminem Ligi Narodów lub Paktem Paryskim".

Obrońca. W jaki sposób zetknął się pan po raz pierwszy z oskarżonym w czasie pełnienia funkcji ministra spraw zagranicznych?

Simon. Dotyczyło to Paktu Czterech.

Obrońca. Kiedy?

Simon. Pakt Czterech podpisany był w Rzymie w marcu 1933 roku przez Anglię, Francję, Niemcy i Włochy.

Obrońca. Jakie były cele Paktu?

Simon. Cztery mocarstwa winny były zadeklarować po pierwsze — zamiar koordynowania swej polityki europejskiej, a następnie — gotowość zajęcia się rewizją traktatu pokojowego i wreszcie — pragnienie „uzgadniania swej polityki w sprawach kolonialnych".

Obrońca. I udało się wam skoordynować waszą politykę europejską?

Simon. Pakt nigdy nie wszedł w życie. Francja odmówiła jego ratyfikacji.

Obrońca. Wydaje mi się, lordzie Simon, że nie jest pan bynajmniej sprawiedliwy wobec samego siebie. Czyż nie było to początkiem tej polityki, która tak szczęśliwie wskrzeszona została w Monachium w roku 1938? Oczywiście było. Jednakże, jeśli sąd pozwoli, dodam tu jedną czy dwie uwagi. Miesiąc czy dwa przed podpisaniem tego Paktu oskarżony napadł na cały system genewski w ogólności. „System konferencyj skończył się", oświadczył, demaskując „wieczną fikcję czy też umowne kłamstwo korzenia się przed demokratycznym równouprawnieniem narodów, które nie istnieje w przyrodzie i nigdy nie istniało w historii". W takim to właśnie nastroju wysunął on projekt Paktu Czterech, i szybkość, z jaką pan, lordzie Simon, i premier, mister Ramsay MacDonald, przyjęliście tę propozycję i udaliście się do Rzymu, dostarczyć mu musiała niemałego triumfu. System Paktu Czterech dawał oskarżonemu widome korzyści. Wyłączał on Rosję z narad europejskich. Oburzone nań były głęboko małe państwa Europy Wschodniej i Bałkanów. Wymierzał on poważny cios prestiżowi Francji, zwłaszcza w Polsce, która po raz pierwszy wówczas rozpoczęła politykę orientacji na Niemcy. Istotnie, niektóre małe państwa uważały Pakt Czterech niemal za pogwałcenie zobowiązań brytyjskich wobec Ligi. Była to niewątpliwie opinia przesadzona, zwłaszcza, że plan ten poniósł fiasko. Mam nadzieję, że sąd wybaczy mi tę dygresję. Chcę tylko stwierdzić, że oskarżony posiadał wówczas jasną i wyraźną politykę, która była tak mało zamaskowana, iż doktór Benesz mógł ją scharakteryzować w owym czasie w parlamencie praskim. Była to polityka — oświadczył — zmierzająca do 1) ustalenia wyjątkowej sytuacji wielkich mocarstw, zwłaszcza wobec małych państw Europy centralnej i południowo-wschodniej; 2) nowego ustosunkowania sił, mającego na celu osłabienie Francji i jej sojuszników; 3) rewizji traktatów na takich podstawach, by osłabić Małą Ententę i Polskę i 4) kolonialnych ustępstw wobec Włoch. Tak więc, lordzie Simon, po spotkaniu rzymskim,

jaka następna doniosła sprawa spowodowała pańskie zetknięcie się z oskarżonym?

Simon. Było to w Palazzo Boromeo na Isola Bella w Stresie. Spotkanie to znane jest pod nazwą konferencji w Stresie.

Obrońca. Kto tam był jeszcze prócz pana?

Simon. Mussolini, Flandin, Laval i Ramsay MacDonald.

Obrońca. Imponujące towarzystwo! Jaki był cel tej konferencji?

Simon. Niemcy wypowiedziały właśnie paragrafy Traktatu Wersalskiego, dotyczące rozbrojenia, i ogłosiły o wprowadzeniu powszechnej służby wojskowej. Trzy zainteresowane mocarstwa dały wyraz „wielkiej jedności swych celów" i stwierdziły, że zainteresowane są w niepodległości Austrii. Rezolucja, którą państwa te podpisały, potępiała „wszelkie jednostronne pogwałcanie traktatów, które może zagrażać pokojowi Europy".

Obrońca. Pokojowi E u r o p y?

Simon. Tak jest.

Obrońca. Czy wspominał ktoś o Afryce?

Simon. Abisynię omawiano nieoficjalnie.

Obrońca. Oskarżony twierdzi, że wywnioskował na tej konferencji, jak już przedtem wywnioskował z rozmowy z p. Lavalem, iż Francja i Anglia nie są zainteresowane życiowo w Abisynii. Pańskie zeznanie jednak przeczy temu. W każdym razie jednostronne zrywanie traktatów w E u r o p i e było potępione?

Simon. Nader kategorycznie, i potępienie to powtórzone zostało po kilku tygodniach w Genewie.

Obrońca. A czyż nie jest faktem, że na kilka tygodni przed Stresą omawiał pan z Hitlerem w Berlinie porozumienie morskie, i że w kilka tygodni po Stresie następca pański, sir Samuel Hoare, podpisał angielsko-niemiecką umowę morską, która komentowana być mogła jedynie jako bezpośrednie i jednostronne pogwałcenie paragrafu V Traktatu Wersalskiego? Czyż w istocie umowa ta nie była właśnie dlatego potępiona przez Francję, Rosję i niektóre inne państwa, że zezwalała Niemcom na budowę floty prawie tak wielkiej jak francuska, i niemal na pewno zdolnej do panowania na Morzu Bałtyckim? Wydaje mi się, lordzie Simon, iż dokładne znaczenie, jakie się przywiązuje do świętości traktatów, nie było ujmowane jednomyślnie w sposób zgodny nawet w stosunku do Europy, która była wymieniona specjalnie w rezolucji stresańskiej. Czy nie mogło być tak, iż oskarżony czuł się uprawniony do tego, by komentować ją po swojemu w stosunku do Afryki, która nie była wymieniona specjalnie? Postąpił on tak właśnie. Jeśli mylił się w swych przypuszczeniach, to cóż w rzeczywistości zamierzał pan przedsięwziąć, by powstrzymać go przed zamierzonym podbojem Abisynii?

Simon. Nie byłem gotów pogodzić się z tym, by choć jeden okręt, choćby nawet w zwycięskiej bitwie morskiej, zatonął w obronie niepodległości Abisynii. To samo oświadczyłem w Izbie Gmin, dokładnie tymi samymi słowami, 24 czerwca 1936 roku.

Obrońca. Dziękuję panu, lordzie Simon. Myślę, że stanowisko pana było całkowicie jasne we wszystkich sprawach, prócz może jednego nieznacznego szczegółu. Czy zdarzało się dotychczas, by domagano się od pana wycofania słów, które tak uroczyście wygłosił pan w Genewie 7 marca 1932 roku, i które z taką swadą powtórzył pan dzisiaj — przed tym sądem?

Simon. Nie rozumiem pana.

Obrońca. Czy uznał pan kiedykolwiek sytuację, stworzoną przez oskarżonego w Abisynii przy pomocy metod, sprzecznych z regulaminem Ligi Narodów i Paktem Paryskim? Wybawię pana od kłopotliwej odpowiedzi. Zapoznałem się ze sprawozdaniami z głosowania w Izbie Gmin i stwierdziłem, że w kwietniu 1938 roku głosował pan za ratyfikacją umowy angielsko-włoskiej, zawierającej śród swych punktów zasadniczych uznanie podboju Abisynii.

Pragnąłbym wezwać sir Samuela Hoare.

(Sir Samuel Hoare zajmuje miejsce na trybunie świadków)

Obrońca. Kiedy po raz pierwszy nawiązał pan kontakt z oskarżonym?

Hoare. W roku 1915, kiedy udałem się do Włoch w misji specjalnej.

Obrońca. Stara znajomość! Nie będziemy, sir Samuel, dokuczali panu szczegółami. Mogłoby to wywołać kłopotliwą sytuację dla mego klienta i spowodować uprzedzenia w stosunku do niego. Miałem na myśli stosunki pańskie z oskarżonym w związku z przestępstwami, jakie zarzuca mu akt oskarżenia. Nie proszę o szczegółowe sprawozdanie. Istnieją jednak pewne momenty, dotyczące sprawy Abisynii.

Hoare. Ministrem spraw zagranicznych zostałem w roku 1935, i 11 czerwca, niedługo po tym jak sprawa Abisynii przekazana została Lidze Narodów, dałem wyraz moim poglądom. Wyjaśniłem, że rozumieliśmy zawsze, i dobrze rozumieliśmy, dążenie Włoch do ekspansji zamorskiej. W istocie czyniliśmy w przeszłości wszystko, co było w naszej mocy, by czynem dowieść naszego współczucia dla żądań włoskich. W roku 1925 odstąpiliśmy Włochom Dżubę, i w rokowaniach ówczesnych dowiedliśmy, że jesteśmy gotowi spróbować zapewnić Włochom pewne ustępstwa terytorialne przy pomocy rozsądnego i legalnego porozumienia z Abisynią. Uznawałem konieczność ekspansji dla Włoch. Uznawałem również za usprawiedliwione pewne uwagi krytyczne pod adresem rządu abisyńskiego. Nie mogłem jednak dopuścić, by włoska potrzeba ekspansji i skargi na rząd abisyński były dostateczną przyczyną do wypowiedzenia wojny. Niewątpliwie nie porzuciłem wówczas nadziei, że nadarzy się sposobność zapobieżenia temu, co uważałem za klęskę. Praca nasza szła w tym kierunku. Jednocześnie informowałem członków parlamentu, iż mogą pominąć pozbawione całkowicie podstaw pogłoski, jakobyśmy prosili rząd francuski o przyłączenie się do blokady Włoch, i że sami przygotowujemy się do zastosowania pewnego rodzaju gwałtu wobec kraju, z którym łączyła nas przyjaźń od czasów Risorgimento.

Obrońca. Jest to niezwykle interesujące oświadczenie, sir Samuel. Musi to być fakt niezwykle pocieszający dla członków parlamentu — a także dla Mussoliniego — iż żadna blokada nie była zamierzona nawet wówczas, w połowie czerwca. Oskarżony mówił mi, że już na dwa miesiące przedtem zupełnie jawnie ogłosił swą decyzję zapewnienia sobie „całkowitego bezpieczeństwa w Afryce" i że na początku czerwca obwieścił o swym „bezlitosnym postanowieniu" pomszczenia Adui, gdzie Abisyńczycy pobili Włochów w roku 1896. Czy sądzi pan, że otrzymał on kiedykolwiek dość wymowne ostrzeżenie o niezadowoleniu Anglii, czy też uważa pan, że jakkolwiek ważkie mogło być ostrzeżenie ze strony Anglii i Ligi Narodów, oskarżony zdecydowałby się na kontynuowanie swej wojny zaborczej?

Hoare. Nie mogę odpowiadać za oskarżonego. Ale moje ostrzeżenia były niewątpliwie poważne. 11 września, przemawiając w Genewie, użyłem słów następujących — niechaj sąd sam rozstrzygnie, w jakim stopniu były one ważkie. Powiedziałem: „Zgodnie ze swymi ścisłymi i jasnymi zobowiązaniami, Liga Narodów, i mój kraj wraz z nią, wypowiada się za zbiorowym poparciem traktatu w całej jego rozciągłości, a zwłaszcza za wytrwałym i zbiorowym oporem wobec wszelkich aktów niesprowokowanej agresji. Stanowisko narodu brytyjskiego w ciągu ostatnich tygodni wykazało wyraźnie, iż nie jest to zmienna i niepewna pozycja, lecz zasada polityki międzynarodowej, popierana przez naród i jego rząd z mocną, wytrwałą i wszechobejmującą konsekwencją".

Obrońca. Niewątpliwie było to jasne ostrzeżenie. Zdaje się jednak, że nie podziałało ono na postępowanie oskarżonego. 27 września oświadczył on: „Obmyśliłem dobrze, obliczyłem wszystko, zważyłem wszystko" i 2 października w rzeczy samej rozpoczął wojnę. Tak więc sądzi pan, że oskarżony wszcząłby wojnę z Abisynią bez względu na groźby, jakie mogłyby być doń skierowane przez pana i mocarstwa Ligi?

Hoare. Jak już powiedziałem, badanie psychologii oskarżonego nie należy do mnie. To pańska sprawa. Ja nalegałem w dalszym ciągu i oświadczyłem Izbie Gmin, że „nasza polityka pozostała niezmienna".

Obrońca. Kiedy to było?

Hoare. 23 października 1935 roku.

Obrońca. P r z e d wyborami powszechnymi?

Hoare. Tak.

Obrońca. Czy polityka pańska pozostała niezmienna p o wyborach powszechnych?

Hoare. Sądzę, że pytanie to dotyczy planu, opracowanego przeze mnie i p. Lavala. Wyczerpującej odpowiedzi na to udzieliłem w mojej mowie pożegnalnej w Izbie Gmin. W szczególności przerażała mnie myśl, iż moglibyśmy dać Abisynii powód do tego, by sądziła, że Liga może uczynić więcej niż mogła w istocie — i że w końcu stanęlibyśmy wobec straszliwego momentu rozczarowania, kiedy mogłoby się zdarzyć, że Abisynia byłaby zniszczona całkowicie jako państwo niezależne.

Obrońca. Krótko mówiąc, utracił pan wiarę w skuteczność polityki wytrwałego i zbiorowego oporu wobec niesprowokowanej agresji, której to politykę obiecał pan poparcie swego rządu?

Hoare. Opór nie był zbiorowy. Jak oświadczyłem Izbie Gmin w mojej mowie pożegnalnej: ani jeden okręt, ani jeden samochód, ani jeden człowiek nie został wysłany przez innych członków Ligi.

Obrońca. To bardzo ważkie alibi, sir Samuel. Jest to właśnie to samo alibi, jakie znajdowało szerokie zastosowanie w poprzednich wypadkach. Jednakże chciałbym, aby pan powrócił do swego przemówienia z 23 października, przed wyborami, które pan już cytował. Czy wspominał pan w tej mowie o jakichś wojennych środkach ostrożności?

Hoare. Nie pamiętam. Obstaję przy moim oświadczeniu, że tylko myśmy zastosowali sankcje wojenne.

Obrońca. Proszę mi wybaczyć, sir Samuel. Było może niesprawiedliwością z mojej strony oczekiwać, iż przypomni pan sobie wszystkie szczegóły dawnych swych przemówień. Może pozwoli mi pan zacytować ten ustęp za siebie. Pozwoli pan przypomnieć sądowi, że działo się to 23 października. Sir Samuel oświadczył: „Rząd Jego Królewskiej Mości wyjaśnił od razu, że gotów jest całkowicie spełnić swój obowiązek, jako członka Ligi, ale że nie będzie podejmował żadnych kroków izolowanych, a jak p. Laval przyznał w swym niedawnym przemówieniu w Clermont-Ferrand, nie proponowaliśmy nawet nigdy Francuzom omówienia jakichkolwiek kroków wojennych. W obliczu tych faktów jakże nieuczciwe jest ze strony agitatorów przedstawianie nas, jako podżegaczy wojennych, którzy postanowili zatopić świat w powszechnej pożodze! Wiedząc od samego początku, że określone narody nie zaakceptują sankcyj wojennych, łatwo moglibyśmy oświadczyć, że byliśmy gotowi do zastosowania środków ostatecznych, ale inni nie byli na to zdecydowani. Nie złożyliśmy i nie złożymy podobnie prowokacyjnego oświadczenia".

Tak więc, panowie przysięgli, znajdujemy tu niewątpliwie dziwny kontrast. W drugim swym przemówieniu sir Samuel oświadcza, usprawiedliwiając się ze swej ugody z Lavalem, że żadne inne państwo nie zastosowało sankcyj wojennych. W poprzednim przemówieniu zaznacza, że Francji nigdy nie proponowano nawet zastosowania sankcyj wojennych i że nie było nawet mowy o tym, by inni członkowie Ligi byli niezdecydowani. Jeszcze dziwniejszy jest fakt, iż w porozumieniu angielsko-francuskim, zawartym 23 października — w 20 dni po wybuchu wojny — jak się wydaje, zawarte było wyrzeczenie się sankcyj wojennych. Czy mógłby pan, sir Samuel, wyjaśnić nam przyczyny tego faktu?

Hoare. Jak stwierdziłem w moim przemówieniu pożegnalnym, byliśmy pod naporem natarczywej konieczności uczynienia wszystkiego, co jest w naszej władzy, by zapobiec pożarowi Europy.

Obrońca. Uważam, że jest to odpowiedź niewystarczająca. Doprawdy, panowie przysięgli, sądzę, że sir Samuel jest równie nieszczery wobec sądu, jak i poprzednio wobec Izby Gmin i społeczeństwa angielskiego. Sir Samuel mówił nam o swym przemówieniu na Zgromadzeniu Ligi 11 września 1935 roku. Nie powiedział nam, i o ile mi wiadomo, żaden rząd brytyjski nie mówił i nie ogłaszał historii tego, co zaszło w nocy 10 września. Historia ta jednak b y ł a opowiedziana — przez p. Lavala. Jest to historia tajnego układu między p. Lavalem i sir Samuelem Hoare, w którym to układzie, jak oświadcza p. Laval, „doszliśmy natychmiast do porozumienia co do odrzucenia sankcyj wojennych, blokady morskiej, zamknięcia Kanału Sueskiego — krótko mówiąc, odrzucenia wszystkiego, co mogłoby doprowadzić do wojny".

Panowie przysięgli, łatwo zrozumieć, że jeśli twierdzenie to odpowiada prawdzie, posiada ono pierwszorzędne znaczenie. Gdyby było nieprawdziwe, zostałoby zdementowane, powtarzało się bowiem często w nieoficjalnych publikacjach. W chwili obecnej oświadczenie Lavala przemawia przeciwko milczeniu sir Samuela. Nie cenię zbyt wysoko oświadczeń Lavala, ale nie sądzę również, by milczenie miało być w ten sposób zakłócone. Bowiem, kiedy rząd angielski wystosował do rządu francuskiego notę co do możliwości przyszłych sankcyj w październiku 1935 roku, rząd francuski odpowiedział powołaniem się w sposób zupełnie zdecydowany na te tajne rokowania, i zapewne ta odpowiedź Francji przechowywana jest jeszcze w archiwach brytyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, jeśli, rzecz prosta, przezornie jej zawczasu nie zniszczono. Prócz tego, czy ten tajny układ nie tłumaczy dziwnego, lecz kategorycznego oświadczenia sir Samuela, złożonego w 20 dni po wybuchu wojny abisyńskiej, że żadnych kroków wojennych nie przewidywano?

Ten tajny układ wiele jeszcze prócz tego wyjaśnia. Sądzę, i nie bez podstaw, że wiadomość o tym tajnym układzie szybko doszła do oskarżonego. Sądzę, że źródłem informacji był p. Laval. Sądzę, że poczynając od 10 września Mussolini był całkowicie poinformowany — mimo przemówienia sir Samuela z 11 września — że nie ma potrzeby obawiać się interwencji zbrojnej wielkich mocarstw. Sądzę, że to właśnie tłumaczy jego wojownicze przemówienia, jego wyzwanie rzucone Genewie i jego jawną gotowość do zaryzykowania ściągnięcia na siebie wrogości 52 państw. Sądzę, że tłumaczy to ową łatwość, z jaką sumienie sir Samuela zgodziło się na uznanie podboju Abisynii w roku 1938; sumienie jego przeżyło kryzys — jeśli wydarzenie tak wybitne w ogóle kiedykolwiek miało miejsce — owego wrześniowego wieczora, trzy lata przedtem. Sądzę, iż z całego epizodu z sankcjami czyni to zwykłą farsę. Sądzę, że wskazuje to na to, iż owo szczególne przestępstwo, przypisywane oskarżonemu, dokonane zostało przez pewne wysoko postawione osoby, z a n i m jeszcze miało miejsce w rzeczywistości, i dlatego też fakt ten nie jest godny uwagi tych, którzy mają sądzić przestępcę po upływie tak długiego czasu.

Chciałbym wezwać mego następnego świadka, mr. Neville Chamberlaina.

(Mr. Neville Chamberlain zajmuje miejsce na trybunie świadków)

Obrońca. Mr. Chamberlain, nie mam najmniejszej chęci powracać do tego, co było już tu powiedziane. Czy nie mógłby pan jednak opowiedzieć sądowi o swych poglądach sprzed wyborów 1935 roku na spór angielsko-włoski o Abisynię?

Chamberlain. Poglądy moje były takie same, jak innych członków rządu.

Obrońca. Czy nie mógłby pan przypomnieć nam jakichś szczególnych oświadczeń, składanych przez pana w owym czasie?

Chamberlain. Poglądy moje zgadzały się zupełnie z poglądami innych członków rządu. Była to polityka całkowicie uzgodniona.

Obrońca. Ale czy pamięta pan jakieś specjalne oświadczenia, które ściągnęły wówczas na siebie szczególną uwagę?

Chamberlain. Trzymałem się formuły ogólnej.

Obrońca. Jakiej?

Chamberlain. „Zamierzamy dotrzymać naszych zobowiązań, wypływających z traktatu, wespół z innymi członkami Ligi“.

Obrońca. Czy to było wszystko?

Chamberlain. Był to zwykły sposób wyrażania się.

Obrońca. A czy ten zwykły sposób wyrażania się nie zawierał również tych słów, które następowały bezpośrednio po zacytowanych przez pana: „Tylko w ten sposób możemy dać do zrozumienia ewentualnym napastnikom, że nie dopuścimy do pogwałcenia uroczyście podjętych zobowiązań przez napaść na inne państwa“.

Chamberlain. Tak, sądzę, że to wyrażenie również było w użyciu.

Obrońca. I pan przyłączył się do niego?

Chamberlain. Tak.

Obrońca. Czy nie przypomina pan sobie jeszcze jakiegoś specjalnego wyrażenia, jakiego pan użył w związku z tą samą sprawą?

Chamberlain. Nie mogę pamiętać wszystkich mów, wygłoszonych w owym czasie.

Obrońca. Oczywiście. Ale czy nie pamięta pan specjalnej polemiki, jaka toczyła się wówczas między panem i deputowanym z Birmingham, panem Amery?

Chamberlain. Owszem, coś sobie przypominam.

Obrońca. Czy nie powiedział pan w toku tej polemiki, że „punktem wyjściowym była nie Abisynia, lecz losy Ligi i zagadnienie, czy powinniśmy tchórzliwa ustepliwością złamać złożona obietnice i okryć sie hańbą wobec naszych dzieci i dzieci ich dzieci“? Czy nie były to pańskie słowa?

Chamberlain. Owszem, były.

Obrońca. W jakim wiec momencie, mr. Chamberlain, zmienił pan zdanie po wyborach? Moim zdaniem. był pan pierwszym wybitnym członkiem rzadu, który odrzucił politykę sankcyj. Czy tak było?

Chamberlain. W lipcu 1936 roku Liga Narodów rozesłała cyrkularz do swych członków, w którym zapewniała, że losy się ważą. i w celu wywarcia nacisku na członków parlamentu i rządu nawoływała do wszczęcia kampanii, przeprowadzajacej tezę, iż gdybyśmy stosowali polityke sankcyj, a nawet ją wzmocnili. niepodległość Abisynii mogłaby jeszcze być uratowana. Określiłem tę polityke, jako „kulminacyjny punkt szaleństwa“. Czułem. że gdybyśmy trzymali się tei polityki. doprowadziłoby nas to jedynie do dalszych klęsk. które odsunełyby nas tylko. jako ludzi praktycznych, od szukania innego, lepszego wyjścia.

Obrońca. Kiedy zaczął pan podejmować praktyczne kroki w celu uzyskania owego „lepszego wyjścia“?

Chamberlain. Po roku, kiedy zostałem premierem.

Obrońca. Nie sądził pan, by pańskie przedwyborcze obietnice wykluczały w każdym razie wszelką możliwość nawiązania przez pana rokowań z oskarżonym?

Chamberlain. Uznałem, iak to zakomunikowałem Izbie Gmin, że musimy dokonać jeszcze jednego i to zdecydowanego wysiłku, by zapobiec niebezpiecznej sytuacji. Byłem zdania, iż spór między nami opiera się w znacznym stopniu na bezpodstawnych podejrzeniach i nieporozumieniach. Łatwość, z jaką raz już przełamaliśmy lody i wszczeliśmy rokowania, z jaka zdolni byliśmy dojść do porozumienia we wszystkich aspektach omawianej sytuacii. dowodzi moim zdaniem. że miałem słuszność i że nie było żadnej realnej i solidnej podstawy, by sądzić, iż nasze interesy są sprzeczne.

Obrońca. W iaki sposób powstała możliwość nawiązania rokowań?

Chamberlain. Hrabia Grandi, ambasador włoski w Londynie, wręczył mi list odręczny signora Mussolini.

Obrońca. Inicjatywa należała więc całkowicie do oskarżonego?

Chamberlain. Tak.

Obrońca. Czy nie wzbudziło to pańskich podejrzeń?

Chamberlain. Nie. List utrzymany był w tonie przyjaznym i poczułem. że nadarza sie nam okazja nawiązania rokowań, której nie należy odrzucać. Napisałem w odpowiedzi list osobisty, utrzymany w serdecznym tonie.

Obrońca. Co pan powiedział w swej odpowiedzi?

Chamberlain. Wyraziłem swa wiarę, że mogą być przywrócone miedzy naszymi krajami dobre stosunki, jeśli usunie się pewne nieporozumienia i bezpodstawne podejrzenia. Stwierdziłem, że jesteśmy gotowi nawiązać rokowania.

Obrońca. Czy rokowania rozpoczęły się od razu?

Chamberlain. Nie. po pewnej zwłoce, mniej więcej po ośmiu miesiącach, w lutym 1938 roku.

Obrońca. Tak wiec, mr. Chamberlain, w tym czasie znał się pan już dobrze z oskarżonym. Był pan członkiem rządu w ciagu całego epizodu z sankcjami, i miał pan kontakt z Mussolinim w ciagu dwu lat następnych. Jakie zdanie wyrobił pan sobie o charakterze oskarżonego? Czy miał pan co do niego jakieś wątpliwości?

Chamberlain. Oświadczyłem Izbie Gmin, iż wierzę w to, że jego rząd przystąpi do rokowań w tym samym duchu, co my, a mianowicie z całkowitym zaufaniem i ze szczerym życzeniem osiągnięcia porozumienia.

Obrońca. To znaczy, iż opinia pańska o charakterze oskarżonego była taka, iż ufał mu pan całkowicie?

Chamberlain. Wierzyłem w konieczność wykazania ducha zaufania, jeśli w ogóle porozumienie miało być osiągnięte.

Obrońca. Sądzę, że uchyla się pan nieco od pytania. Czy istotnie zaufanie pana do charakteru oskarżonego nie było niewzruszone i absolutne?

Chamberlain. Tego nie mówiłem nigdy.

Obrońca. Nie, ale powiedział pan nie mniej. Czyż nie oświadczył pan, że jeśli da się pan okpić przez to porozumienie, to znaczy przez oskarżonego, gotów pan jest zjeść własny kapelusz? Czy nie były to pańskie słowa?

Chamberlain. Owszem.

Obrońca. Sądzę więc, że czyniąc tę nieco przesadną propozycję co do pańskiego nakrycia głowy, w istocie składał pan najwyszukańszy komplement charakterowi mego klienta. Sądzę również, że pochwały pańskie nie ograniczały się do oskarżonego. Obejmowały również jego otoczenie. Czy przypomina pan sobie swe wypowiedzi co do hr. Grandi, ambasadora włoskiego w Londynie?

Chamberlain. Tak, mówiłem coś takiego.

Obrońca. Przypomne panu. Powiedział pan, że nie mógł pan „pominąć okazji, by nie podkreślić również mego zrozumienia dla współpracy hrabiego Grandi, ambasadora włoskiego w Londynie, który zdobył sobie zaufanie i szacunek w naszym kraju i który niewątpliwie uczynił wiele, by ułatwić zawarcie porozumienia swymi nieustannymi i skutecznymi zabiegami o usunięcie wątpliwości i nieporozumień“.

Obecnie, mr. Chamberlain, przejdźmy do samego porozumienia. Czyż nie jest faktem, że kiedy wszczął pan te rokowania z signorem Mussolini, wojna w Hiszpanii była w pełnym biegu i sądzono, że wojska włoskie biorą w niej udział?

Chamberlain. Tak.

Obrońca. Czy rozpoczynajac rokowania stawiał pan jakieś warunki co do Hiszpanii?

Chamberlain. Oświadczyłem ambasadorowi włoskiemu, że jest rzeczą istotną, by Liga, jeśli zwrócimy się do niej z prośbą o ratyfikację umowy, nie miała możliwości odpowiedzieć, że sytuacia w Hiszpanii zmieniła się w sposób istotny wskutek wysłania generałowi Franco przez Włochy świeżych posiłków i pogwałcenia przez nie porozumienia, przewidzianego w formule brytyjskiej o wycofaniu ochotników cudzoziemskich.

Obrońca. Czy propozycja ta była przyjęta przez rząd włoski?

Chamberlain. Tak.

Obrońca. A czy była ona powtórzona w porozumieniu włosko-angielskim, podpisanym w Rzymie w kwietniu 1938 roku?

Chamberlain. Tak.

Obrońca. A czy zobowiązanie Włoch co do Hiszpanii było spełnione?

Chamberlain. Zawsze trudno było określić ścisłą liczbę wojsk cudzoziemskich, walczących w Hiszpanii.

Obrońca. No, no, mr. Chamberlain. Czy nie jest faktem. że w sierpniu 1938 roku, kiedy porozumienie było podpisane i propozycja uznania podboju Abisynii przeszła w Genewie. przedstawiciel pański w Rzymie zgłosił rzadowi włoskiemu zarzut wzmożenia interwencji w Hiszpanii? I czyż nie jest faktem. że w tym samym tygodniu generał Franco odrzucił wszystkie istotne punkty planu wycofania wojsk. przy iawnym poparciu rządu włoskiego? Nie ma pan chyba potrzeby odpowiadać na te pytania. Odpowiedzi zawarte są w dokumentach oficjalnych. Jest zresztą i dalszy dowód. potwierdzajacy ten fakt. Od początku do końca tych rokowań lord Halifax był z panem w kontakcie, prawda?

Chamberlain. Tak.

Obrońca. Nie mieliście przed sobą tajemnic?

Chamberlain. Oczywiście nie.

Obrońca. A przypomina pan sobie mowe, którą lord Halifax wygłosił na ten temat w październiku 1938 roku?

Chamberlain. Jaką mowę?

Obrońca. Przypomnę panu. Lord Halifax oświadczył: „Signor Mussolini przez cały czas. od samego poczatku rokowań miedzy rządem Jego Królewskiej Mości i rządem włoskim. nie ukrywał. że z wiadomych nam wszystkim przyczyn — czy nam się podobaią czy nie — nie jest skłonny pogodzić sie z klęska generała Franco“. Czy panu również było to wiadome?

Chamberlain. Tak.

Obrońca. W takim razie sądzę. panowie przysiegli, że wniosek może być tylko jeden. Wszystkie rokowania między mr. Chamberlainem i oskarżonym w celu doprowadzenia do porozumienia między Anglią i Włochami prowadzone były z wiedzą, iż nie zostanie podjęte nic, co mogłoby wystawić na niebezpieczeństwo zwycięstwo generała Franco i jego włoskich pomocników w Hiszpanii. Niewątpliwie tak też rozumiał to oskarżony. 7 czerwca 1939 roku oświadczył on: „Nie wahaliśmy się w sposób jawny udzielać całkowitej pomocy od samego początku i aż do ostatecznego zwycięstwa“. Nie było w tym nic zagadkowego. Oświadczenie lorda Halifaxa pozwala też wysnuć wniosek, że i rząd angielski nie był tu wprowadzony w błąd. Mimo tej świadomości mr. Chamberlain z pełną gotowością wychwalał „całkowitą uczciwość“ oskarżonego i nawet gotów był podpisać z nim umowę. A przecież muszę przypomnieć panom przysięgłym, że w akcie oskarżenia figuruje zarzut zdradzieckiego udziału w wojnie hiszpańskiej.

Jednakże, Chamberlain nie tylko nie sądził, że działalność oskarżonego w Hiszpanii plami jego reputację. Był nawet gotów złożyć hołd pozytywnym usługom, jakie oddał oskarżony sprawie pokoju w innych zagadnieniach. Oddam głos świadkowi. Jaką rolę odegrał signor Mussolini w konferencji monachijskiej?

Chamberlain. Współpraca jego niewątpliwie była wybitna i być może miała znaczenie decydujące. Na jego to propozycję ostatnie zarządzenia mobilizacyjne w Niemczech odłożone zostały na 24 godziny, by umożliwić mi rozważenie sytuacji, i w Izbie Gmin oświadczyłem, 3 października 1938 roku, iż na konferencji i on, i włoski minister spraw zagranicznych, hrabia Ciano, oddali nadzwyczajne usługi w czasie dyskusyj. Oni to właśnie na samym początku obrad złożyli memorandum, które ja i p. Daladier przyjęliśmy jako podstawę do dyskusji. Sądzę, że Europa i cały świat mają powody do wdzięczności wobec szefa rządu włoskiego za jego wysiłki w kierunku pokojowego rozwiązania sprawy.

Obrońca. Mam nadzieję, że panowie przysięgli w sposób należyty ocenią tę hojną daninę, złożoną oskarżonemu przez człowieka, którego zazwyczaj uważa się za twórcę Monachium. Zapamiętajmy, że zdaniem świadka usługi, jakie oddał oskarżony, przeważyły całą szkodę, jaką wyrządził przedtem sprawie pokoju powszechnego. Na wypadek, gdyby to jeszcze nie było dość jasne, poproszę mr. Chamberlaina, by odczytał dalsze komplementy, jakie wypowiedział 3 listopada 1938 roku.

Chamberlain. „W sprawach międzynarodowych każda rzecz nieodmiennie wiąże się z innymi, i jeśli polityka rządu w sprawie przecięcia sporów z Włochami wymaga jakiegoś usprawiedliwienia, zawiera się ono niewątpliwie w działalności signora Mussolini, kiedy na moją prośbę użył on swego wpływu na herr Hitlera, by uzyskać czas na dyskusję, która doprowadziła do umowy monachijskiej. Czyn ten uratował pokój europejski. Czyż ktokolwiek sądzi, iż moia prośba o interwencję. zwrócona do signora Mussolini, spotkałaby się z oddźwiękiem z jego strony, lub czy ja mógłbym zwrócić się doń z podobną prośbą, gdyby nasze stosunki z Włochami pozostały takie, jak przed 18 miesiącami?“

Obrońca. Dziękuję panu, mr. Chamberlain, pańskie zeznania były niezwykle cenne. Są jeszcze, zdaje się, ludzie w tym kraju, którzy sądzą, że Monachium było wielkim dobrodziejstwem dla pokoju. Główną zasługę tego czynu, jak to obecnie jest jasne, dzielić winien pan z oskarżonym. I gdyby wskutek omyłki sądowej klient mój uznany został za winnego przestępstw, jakie zarzuca mu akt oskarżenia. istniałyby niewątpliwie ważkie podstawy do starań o złagodzenie wyroku, wobec szlachetnej działalności oskarżonego w owym czasie na rzecz pokoju. Podobnie jak mr. Chamberlain, signor Mussolini widział również jawne korzyści, wynikające z uchwał monachijskich. Obecnie jednak, zanim mr. Chamberlain nas opuści, chciałbym jeszcze zadać mu jedno czy dwa pytania. Czy Monachium było ostatnią okazja, kiedy miał pan zaszczyt spotkać się z oskarżonym?

Chamberlain. Nie, spotkałem się z nim znowu w styczniu 1939 roku.

Obrońca. Gdzie?

Chamberlain. W Rzymie.

Obrońca. Była to druga konferencja polityczna?

Chamberlain. Miało to raczej charakter towarzyski i świąteczny.

Obrońca. Czy nie było tam żadnych dyskusyj politycznych?

Chamberlain. Nie było tam absolutnie nic, co miałoby charakter formalnej konferencji lub rokowań. Były to rozmowy orientacyjne i bez formalności.

Obrońca. Czy była tam jakaś specjalna ceremonia?

Chamberlain. Owszem, odbył się wystawny bankiet.

Obrońca. Pan był gościem honorowym?

Chamberlain. Tak. Ja, lord Halifax i król Wiktor Emanuel.

Obrońca. Wygłosił pan mowę?

Chamberlain. Nic istotnego.

Obrońca. Nawet w odpowiedzi na toast?

Chamberlain. Ach tak. były tam jakieś toasty. Odpowiedziałem na jeden, wzniesiony przez Mussoliniego.

Obrońca. Czy nie zechciałby pan powtórzyć sądowi dokładnie słów, których pan wówczas użył?

Chamberlain. „Zapewniam waszą ekscelencję, że cenię wysoko wyrazy pańskiej osobistej przyjaźni, i w nadziei, że dwa nasze narody współpracować mogą razem nad zapewnieniem długotrwałego pokoju w Europie, wznoszę ten kielich za Jego Królewską Mość króla Włoch. cesarza Etiopii i za nieustajacy dobrobyt i rozkwit narodów, nad którymi panuje“.

Obrońca. To wystarczy. Chciałbym obecnie wezwać lorda Halifaxa.

(Dalszy ciąg nastąpi)

JERZY PUTRAMENT

Warszawa w lutym

Zadymka. Porywisty wiatr wypada gdzieś z zachodu i północy, uderza w rozpędzonego „Willysa”, przenika na wylot, cały przesycony drobnym, wilgotnawym śniegiem. Jest zimno, mokro, obrzydliwie. Z zamieci wyskakują zamazane kontury domów, dalekie drzewa majaczą niepewnie, jakby widziane oczami lichych surrealistów. Siedzę skurczony, z uporem, acz bez skutku, usiłując osłonić kołnierzem kawałek policzka przed mordobiciem wiatru.

Droga wije się serpentynami, przeskakuje przez parowy, wpada do śmiesznie i uroczo staroświeckich miasteczek. I cała — od Krakowa aż po Warszawę — jest poznaczona gromadami ludzi.

Idą, w tę zadymkę, w błoto i śnieg, pieszo, z tobołami, walizami, węzełkami. Starzy, młodzi. Najszczęśliwsi ulokowali się w autach, siedzą rzędem przytuleni do siebie na „Studebakerach”, czepiają się góry worków na „połutorkach”. Inni powłazili po dwudziestu na wozy. Jeszcze inni z wysiłkiem pedałują na rowerach. Ale najwięcej jest pieszych.

Przechodzą przeze mnie wszystkie możliwe uczucia, gdy patrzę na ten potok ludzki. Zniecierpliwienie — że tarasują i bez tego trudną drogę. Litość dochodząca aż do wściekłości: po co tam idą? do czego? na co? Jak będą mieszkać w tych spalonych kamienicach? Kto ich tam nakarmi? Kto ich ogrzeje? Ilu z nich nie dojdzie — wygłodzonych, zmarzniętych, wymęczonych piekielną drogą aż do czerwonych iskier w oczach. A potem, już za Miechowem, za Chęcinami, Kielcami, już o zmierzchu, już w granatowych lasach pod Zagnańskiem, zaczynam stwierdzać w sobie tylko absurdalny i niemądry podziw dla wytrzymałości gatunku ludzkiego i mocy instynktu, pchającego człowieka do ojcowizny. Nie do mienia, nie do domu. Po prostu do punktu na kuli ziemskiej, do abstrakcyjnego dziś pojęcia W a r s z a w a.

WIDMA

Była już noc, gdyśmy wjeżdżali szosą radomską do Warszawy. Wysokie bloki domów czerniały w ciemności i można było uwierzyć, że są to domy, a nie widma, nie trupy. Ale wystarczyło, by zezujące światło samochodu otarło się o nie, by właśnie szkieletowość, właśnie trupiość ich rzuciła się w oczy. Nie wiem, czemu natrętnie przypomniało mi się Równe sprzed roku i mogiły na ulicy Białej rozkopane aż do gęsto ubitych kondygnacyj zleżałych trupów. Te domy miały — może ten kolor, może te sińce osmalonych okien, może ten sam dystans, który, zachowując zewnętrzne formalne podobieństwo człowieka i trupa, tak ich od siebie oddala, który jest najdotkliwszym atrybutem śmierci. Właśnie dlatego boimy się trupa, że przypomina nam człowieka.

Samochód się zepsuł, trzeba go było ciągnąć. Przedstawiciel najdzikszej odmiany ludzkiej, szofer, beztrosko rzucił drugiemu:

— Idź, poszukaj koło domu, kawał drutu się znajdzie.

Istotnie, kawał drutu się znalazł. Może przewód tramwajowy, może kabel. Wyrwano z trupa miasta kawał ścięgna i żywa maszyna ruszyła.

Oto czym jest teraz Warszawa. Nie miastem, nie ziemią orną — śmietnikiem, w którym grzebią przechodnie i zabierają potrzebne im sprzęty.

Jechaliśmy ulicami, które w nocy łatwiej poznać, niż w dzień. Aleje, Nowy Świat, Książęca, ogromne przęsła mostu Poniatowskiego, wątły most pontonowy, Praga.

I tu, na tej biednej, brudnej, poharatanej Pradze, z lejami na ulicach, z dyktą zamiast szyb, ze zwaliskami rozbitych dworców i fabryk poznaje się, jak życie, choćby najlichsze, jest wyższe od śmierci.

WYPRAWA NA STARE MIASTO

Dojeżdża się do Placu Zamkowego. Zygmunt leży na bruku. Jego zzieleniała postać, nieoczekiwanie duża z bliska, traci na ziemi swoją hieratyczną, wystylizowaną pozę, staje się zwyczajna, ludzka. Tylko głowa, wisząca w powietrzu, podparta wąskim ramieniem, budzi jakieś zakłopotanie; chciałoby się podłożyć pod nią poduszkę. Miecz i krzyż znikły z pustych dłoni, ale posąg jest prawie nietknięty. I kolumna, rozbita na części, da się łatwo ustawić z powrotem.

Ale Zamek — to już nawet nie wypalone ściany, to tylko potłuczona cegła.

Barykada. Coś jakby ścieżka wiedzie do niej. Trzeba chwytać się muru, balansować, wspinać się. Cała uliczka — to jakaś górska perć, obramowana dwiema ścianami wypalonych na żużel murów. Ścieżka biegnie zygzakiem, wspina się na pagórek bitej cegły, spada w dół, omija leje, przechodzi przez rowy. W pewnym miejscu odchyla się w lewo: z prawa olbrzymie głazy, polerowane z jednej strony na jasnozielono. Tylko te szczątki kafli przypominają: tu stała Katedra Świętego Jana.

Oto i Rynek — widmo. Rynek Starego Miasta. Z lewa i przed nami frontony kamienic stoją z pustymi oczodołami, z pustką za sobą, z prawa — i tego nie ma. Tylko pięciometrowe kurhany gruzów. Na placu trzy lub pięć niewypałów. Już zardzewiałe, pękate i duże, leżą czekając, aż któryś z przedsiębiorczych dwunastolatków zabierze się do majstrowania nad nimi, wybierając ten pospieszny środek lokomocji na tamten świat.

Kamienica Baryczków. Kto to mówił, że ocalała? Sklepiona sień istnieje, ale nad nią i za nią nic nie ma. W sieni pierze i papierzyska. Szczątki tablicy marmurowej. W piwnicy — jak uprzejmie informują autochtoni — leżą jeszcze trupy.

Obok dom nie spalony. Potłuczony wstrząsami, uszkodzony jakimś pociskiem, bez szyb, ze szczątkami ram okiennych. Ale nie spalony. Więc — po warszawsku licząc — cały!

Kamienne Schodki. Można na nie tylko patrzeć z daleka. Ogromne kratery lejów zamknęły uliczkę. Z prawej strony kopnięta wybuchem ściana pochyliła się, niemal dotykając przeciwległego domu i zastygła w połowie drogi, nie runęła.

Z największej sterty gruzów, z czerniejącej w zwaliskach pieczary wyłazi na czworakach człowiek, ciągnący za sobą worek. Poszukiwacz skarbów, czy niedobitek?

OKRUCHY ŻYCIA

Odwracają się nasze pojęcia. Pejzaż jest tak niemiejski, tak nieludzki, że nie ruiny przyciągają uwagę, ale żywe pokoje. Na rynku Starego Miasta bowiem, na początku lutego są mieszkańcy. Obok Baryczków w parterowej izbie gnieździ się już pierwsza rodzina. Postawili piecyk, z dykty i odłamków szkła zrobili okno i mieszkają.

Jeżdżę ulicami i tego właśnie szukam: szczątków życia. Na Siennej znalazłem dom, który uratowała bomba. Cały front jest rozwalony i dlatego ocalały oficyny. Niemcy go nie spalili. Uważali, że posesja spłaciła już swój kontyngent zniszczenia.

Nauczyliśmy się patologii domów. Kule, pociski — to drobne schorzenia. Ciężkie pociski i bomby — to kalectwa, przyprawiające często o śmierć. Ale najstraszniejsze — jak epidemia tyfusu czy cholery — to ogień. Warszawę zniszczył ogień. Bombardowanie nie zdziała tyle, co zorganizowane, planowe palenie. Warszawa — to nie wieś ze słomianymi strzechami, której wystarczy jedna iskra. Prawie każda kamienica to oddzielna komórka, odgrodzona od reszty — „samowystarczalna” dla pożaru. Trzeba było od nowa podpalać każdy dom.



Gmach Telegrafu na Nowogrodzkiej

Niszczenie to także praca. Ile czasu, wysiłku, siły roboczej, materiałów palnych zużyć musieli Niemcy, aby tak regularnie, dom po domu, wypalić milionowe miasto. A przecież się nie zawahali, nie cofnęli przed dokonaniem tej „misji dziejowej” narodu niemieckiego.

Po przejechaniu przez pięćdziesiąt wypalonych ulic trafiłem na Aleje Jerozolimskie.

Dom nie spalony! I znowu. Znowu. Coś z tuzin wielkich domów — częściowo bez szyb, tu i ówdzie dziobniętych pociskami, ale nie spalonych. Wyspa życia.

I na Polnej parę domów całych, bardzo posiekanych przez artylerię. I w podwórzach na Marszałkowskiej, na paru innych oficyny nie wypalone. Dokoła tych ziarenek zaczyna się żywiołowy proces narastania życia. Wydeptana ścieżka wymija gruzy, pogruchotane wanny, połamane meble i wiedzie do izdebki półciemnej i zapchanej gratami. Na mikroskopijnym piecyku syczy kasza. Zestarzałe kobiety odprawiają domowe misteria. Dzieci znoszą to najlepiej. Dla nich zmarły świat za ścianami izby jest terenem, w którym realne życie splata się z zabawą. Każde wyjście z pokoju to wyprawa naprawdę do dzikiej puszczy.

Na ulicach ruch. Paciorki przechodniów sączą się tam i z powrotem, z plecakami, tobołkami i sankami. Na skrzyżowaniach wynikają doraźne rynki. Doczekaliśmy się. Na rogu Marszałkowskiej i Alej jest Kiercelak. Kilkanaście bab z bułkami. Trochę handlujących na zamianę. Tłum gapiów.

Tyle nędzy zebranej do kupy nie ma dziś chyba w całej Polsce. Obliczają ludność dzisiejszą Warszawy na jakieś pięćdziesiąt tysięcy. Zatem pięćdziesiąt tysięcy nędzarzy.

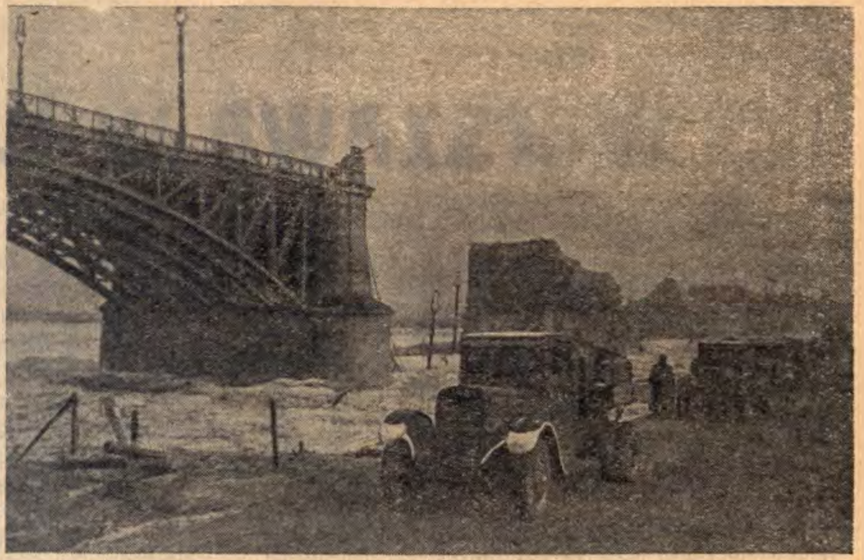
Można wyciągać setki rozsądnych argumentów o długodystansowej planowej akcji odbudowy Warszawy. Ale nie sposób nie uznać jednej absurdalnej racji. Żywioł ludzki, który pcha się z odległości trzystu i więcej kilometrów do Warszawy poprzez mróz, śnieg i głód, narażony na udrękę wleczenia ze sobą szczątków swego mienia, ten żywioł pierwszy stanął do odbudowy stolicy i zdziała w niej chyba najwięcej. Grzyb, któremu wypadnie urodzić się pod kamieniem, wyrośnie koślawy, ale uniesie kamień swoim miękkim, nietrwałym ciałem. Te ciała ludzkie podnoszą sobą kamienie Warszawy, ci ludzie swoją duszą ogrzewają to straszliwe miasto. Ich jest przyszłość Warszawy.

* * *

Wyjeżdżamy, pełni uczucia nieodwracalności tego, co się stało. Odbudujemy Warszawę, może prędko, może nieprędko. Będzie to z pewnością miasto lepiej rozplanowane i wygodniejsze dla ogółu mieszkańców, ale tamtej Warszawy nie będzie. Raz jest dane życie człowiekowi. Nie tak wiele tego życia pozostało naszemu pokoleniu i gorzka jest myśl, że będziemy to miasto budować, że wybudujemy je, ale nie starczy już nam dosyć młodości, aby w pełni przeżyć szczęście zwycięstwa nad zniszczeniem.



Na terytorium Elektrowni Warszawskiej



Most Poniatowskiego

LEON KRUCZKOWSKI

PO POWROCIE

Jeszcze wczoraj było się numerem. Przez 5 lat było się numerem 665/II B. Miało się ten numer wszędzie: na metalowym znaczku tożsamości, w kartotekach, na bieliźnie, na kartonowym pudełku z żywnością... Pięć lat to dosyć czasu, aby numer zrósł się z człowiekiem, unieważnił go, przeżarł tkanki osobowości. Niemcy umieją znakomicie unicestwiać. Także pod narkozą „oflagów".

Pięć lat spędził numer 665/II B za drutem kolczastym.

A drut był z Barcelony.

Gdy pewnego dnia w listopadzie 1939 r. wpędzono nas w zabudowania wielkich koszar w pomorskim miasteczku Arnswalde, na podwórzu leżały jeszcze rzędami szare, pękate szpule kolczastego drutu. Blaszane znaczki na szpulach miały napis w języku hiszpańskim: drut pochodził ze składnic wojskowych z Barcelony. Jakaż w tym wszystkim ścisła logika, jakiż nieubłagany związek spraw wielkich z małymi! Spojrzałem na znużone długim marszem twarze moich kolegów oficerów. Iluż spośród nich nie tak dawno jeszcze, podczas faszystowskiej „interwencji" w Hiszpanii, modliło się o sukces gen. Franco! Nie wiedzieli wtedy jeszcze, że lata całe przyjdzie im spędzić za drutem kolczastym, ofiarowanym Trzeciej Rzeszy przez wdzięcznych morderców Republiki Hiszpańskiej.

W długie, niezliczone wieczory niewoli słuchałem dziwnej muzyki: grał zimny wiatr pomorski w drutach Barcelony. Uczył rozumieć lepiej niż przedtem, kochać głębiej niż przedtem, czekać cierpliwiej niż przedtem. Mówił o nieomylnej prawdzie naszego czasu, o prawdzie obcej bezdrożom „szosy zaleszczyckiej", dalekiej od matactw londyńskich. Mówił szeptem o sile czujnej i niestrudzonej, daleko za Bugiem gotującej się do śmiertelnego boju o przyszłość świata.

Uczył wierzyć. Wierzyć i czekać.

Gdy dzisiaj odurzony kroczę przez pierwsze dni odzyskanej wolności, myśl o przeklętych pięciu latach za drutem kolczastym odpływa strzępami jak odkręcany bezładnie, kiepski, ponury film.

Film „made in Germany", rozdarty, rozszarpany bagnetem ze stali wytopionej w hutach radzieckich. W krzepkich rękach polskiego żołnierza ujrzałem ten bagnet w szary, lutowy poranek — był to wyzwalający błysk swobody.

Nie zawiódł ufny instynkt, nie zawiodła wiara, o której szeptał wiatr pomorski w drutach Barcelony.

Numer 665/II B już nie istnieje. Wyszedł na szerokie gościńce człowiek wolny — i ze wzruszeniem salutuje wolnych braci — wybawców znad Wisły, znad Wołgi, znad cichego Donu.

A jutro, pisarzu polski, do pracy! Odpłacać dług odzyskanego oddechu. Nigdy nieodpłacalny w całości, bo zbyt ogromny dług przywróconego życia.

KONTRASTY WARSZAWSKIE

Nie pierwszy już raz brnę w Warszawie przez wydeptane wśród rumowisk ścieżki i omijam zwaliska, które do niedawna jeszcze były domami. Nie pierwszy już raz patrzę z bólem na miejsca, gdzie stała katedra, był zamek i kolumna Zygmunta, a jednak na widok tego gigantycznego, największego na świecie cmentarzyska, mimo woli znów zaciskają się pięści. Tu właśnie, na zgliszczach Warszawy chciałoby się zgromadzić tych wszystkich, którzy zagranicą, a niektórzy w kraju, w imię „ideałów ludzkości" chcą bronić hitlerowskich zbirów.

Patrząc na mrowie ludzkie, snujące tam i z powrotem wśród gruzów miasta, podziwiać należy tę niepojętą dla innych, a potężniejszą od wszystkiego, bo i od śmierci samej, siłę żywotną Warszawy i jej mieszkańców. Nie ma samego miasta, ale już budzi się życie miejskie. Już toruje sobie drogę inicjatywa handlowa. Już snuje się setki projektów. Już liczne gromady robotnicze z siłą i uporem maniaków żłobią łopatą i kilofem korytarze wśród kopalni gruzów, a wśród tej masy ludzi opętanych ideą odbudowy Warszawy błądzą jakby dla kontrastu gromadki tych, co wypatrują śród gruzów, czy jakiś przedmiot nie ocalał przed zniszczeniem. Kontrastów jest wiele. Uważny obserwator dostrzeże je na każdym kroku. Począwszy od Alei Jerozolimskich, gdzie ni stąd ni zowąd, wśród zwalisk czarnej, popękanej cegły, dają się słyszeć dźwięki skocznej muzyki. Wśród ruin domów na ocalałym skrawku parteru widnieje napis „Bar", a pod napisem kombinacja szkła z dyktą ma imitować drzwi i okna. W „Barze" głośno i gwarno. Ludzie z tłumokami i plecakami, zabłoceni po kostki siedzą niefrasobliwie przy kilku stołach, zajadając z apetytem wojenny gulasz. Do obiadu przygrywa muzyka. Skrzypek i pianista bębniący z energią na klawiszach cudem uratowanego pianina. Powie ktoś: „Muzyka i bar na trupie miasta". Ależ to właśnie jest iście warszawskie. Krzesić życie tam, gdzie zdaje się to niepodobieństwem.

Na Tamce, na Chmielnej, na Smulikowskiego, na Dobrej ocalało kilkanaście domów. Są one wprawdzie bez szyb, bez futryn i bez drzwi, w murach widnieją tu i owdzie czarne otwory — ślady pocisków armatnich, ale domy według pojęć warszawskich żyją i są gęsto zamieszkałe.

Przez zabite dyktą okno wynurza się na zewnątrz blaszana rura, a ulatniający się tędy dym wskazuje, jak sobie poradził lokator z rozwalonym piecem. Zainstalował piecyk przenośny, rurę wypuścił przez okno i przy tym piecyku grzeje się i gotuje posiłek cała rodzina. W katakumbach stolicy czynne są zakłady fryzjerskie, w których (znowu kontrast) robi się nawet wieczną ondulację i manicure. Młodziutka manicurzystka tylko co wróciła spod miasta, zdjęła z ramion ciężki plecak z prowiantem, ściągnęła z nóg zabłocone buty i w chwilę potem ukazuje się klienteli uśmiechnięta i starannie uczesana, w białym fartuszku i w zgrabnych warszawskich pantofelkach. Na ulicy Pierackiego ogromne zwaliska gruzów znaczą miejsca, gdzie znajdowały się wielkie kamienice, wśród tego nagle, co za kontrast! nietknięty pięciopiętrowy dom. Przed bramą widnieje tabliczka z numerem, a na tabliczce „feralna" trzynastka.

Po odsłoniętej tu i owdzie, ongiś asfaltowanej jezdni biegną szyny tramwajowe, na nich czarne szkielety spalonych wagonów. Jeszcze nie usunięto ich z ulic, a już się mówi o pierwszej linii tramwajowej, która połączy ulicę Żelazną z Mokotowem, biegnąc przez Jerozolimskie i Marszałkowską. I nie tylko się mówi, ale wre praca w remizach nad remontem wagonów. Z uporem i zawziętością, godną największego podziwu, pracują warszawianie na gruzach swojego miasta, opętani jedną tylko myślą: odbudować Warszawę. Spójrzcie na młodzież, jak oczyszcza chodniki z gruzów. Spójrzcie na filigranową warszawiankę, jak dzielnie operuje łopatą! Dzieło odbudowy będzie gigantyczne, ale nikt nie wątpi o jego realizacji. Ogrom zniszczeń najwymowniej ilustrują cyfry: z 19.000 domów pozostało podług pobieżnych obliczeń zaledwie 600, a więc nieco więcej niż 3%. Na tym tle nabiera specjalnej wyrazistości szlachetny, nie mający sobie równego w historii gest Rządu ZSRR: „pokryć połowę kosztów odbudowy i okazać pomoc techniczną". Komisja najwybitniejszych fachowców i architektów ZSRR przybyła już do Warszawy, by rozpocząć realizację przyrzeczonej pomocy.

I znowuż dla kontrastu warto przytoczyć zdanie pamiętnego rozkazu Bora-Komorowskiego w ponurym, niesławnej pamięci dniu kapitulacji. „Złożyliśmy z Warszawy królewską ofiarę" — głosił p. Komorowski, do czego komentator radia polskiego w Londynie dodał od siebie „Warszawa nie istnieje". A rozkazowi Bora wtórowało chełpliwie radio niemieckie, głosząc, że Warszawa jest już tylko pojęciem geograficznym.

To kłamstwo, że Warszawy nie ma. Ani pruskie bestialstwo, ani reakcyjna pycha składająca „ofiary" kosztem narodu nie zabiły ani nie osłabiły ducha naszej stolicy, przywiązania i miłości do niej. Ze wszystkich krańców wyzwolonej ziemi Polski ciągną do Warszawy długie korowody wędrowców.

Wracają do spalonych domów, do gruzu mieszkań, do wspomnień dawnego dobrobytu. Mężczyźni i kobiety, uchodźcy i więźniowie obozów wracają nie po to, aby odpocząć, ale by w ciężkich warunkach, wyrzekając się dobrowolnie na długi czas wszelkich wygód, stanąć w szeregu tych, którzy zbudują nową i już na wieki wolną od niemieckiej grozy Stolicę wielkiej, silnej, rolniczej i przemysłowej — DEMOKRATYCZNEJ POLSKI.

J. K.



Plac Zamkowy



Kościół Św. Aleksandra

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Życie literackie w wyzwolonej Polsce

Literatura wraz z całym narodowym życiem społecznym pod najazdem barbarzyńcy niemieckiego skazana była na milczenie. Wprawdzie najeźdźca usiłował wciągnąć w swe miażdżące polskość tryby również i słowo polskie, lecz żaden szanujący swą godność pisarz nie uległ pokusom.

Polska twórczość literacka nie skalała się hańbiącą współpracą z zaborcą i zaszczytnie broniła narodowego stanu posiadania. Obrona ta toczyła się w ruchu podziemnym. W Warszawie, Krakowie i innych ośrodkach życia kulturalnego szerzyła się tajna praca twórcza, w której pisarze polscy wydatnie współdziałali. Pod czujnym okiem gestapo narażano się na prześladowania i męczeństwo, ale nie ustawano w krzewieniu myśli i słowa polskiego. Potajemnie wydawano książki i czasopisma; urządzano po domach prywatnych wieczory autorskie, zebrania dyskusyjne, nawet przedstawienia teatralne. Jest to cały osobny rozdział z dziejów literatury polskiej, którego opracowanie wymaga jeszcze skrzętnego zebrania materiału z rozmaitych stron kraju. W tym podziemnym ruchu literackim wybiło się także kilkanaście młodych wybitnych talentów. Dla przykładu wymienić już można takie nazwiska, jak: z Warszawy Stanisław Dygat, prozaik o odrębnym nurcie psychologiczno-epickim, Krzysztof Baczyński, syn znanego krytyka Stanisława, poległy w powstaniu warszawskim, poeta o fascynującej wyobraźni twórczej; z Krakowa Juliusz Kudryński, prozaik, od pierwszych swych prób wyrażający własny styl pisarski i głęboko ujęty stosunek do rzeczywistości społecznej, Wojciech Żukrowski, poeta i nowelista, odznaczający się męskim tonem uczuciowym; z Sosnowca Kazimiera Kosińska, wszechstronnie uzdolniona poetka, nowelistka i autorka dramatyczna, i wielu innych, którzy wkrótce dadzą się poznać szerszemu ogółowi.

Ten rozwój młodych talentów, których nie zraziły przeraźliwe warunki pracy pisarskiej pod okupacją, pozwala rokować, że w ten sposób choć w części wyrównane będą straty, jakie w okresie przeszło pięcioletniej niewoli boleśnie dotknęły literaturę polską. Straty te liczne, i w tej chwili o tyle jeszcze trudne do obliczenia, iż jest nadzieja, że niektórzy z tych, których uważamy za zaginionych, może się odnajdą żywi. Nie wrócą już jednak Karol Irzykowski, Zenon Przesmycki, Ignacy Chrzanowski, Stefan Kołaczkowski, Leon Pomirowski, Stanisław Ign. Witkiewicz, Józef Czechowicz, Ludwik Fryde, Ignacy Fik, Teodor Bujnicki, Emil Zegadłowicz, Tadeusz Szantroch, Juliusz Kaden-Bandrowski, Tadeusz Boy-Żeleński, Marian Niżyński, Karol Ludwik Koniński i inni, którzy bądź zmarli, bądź zostali zamordowani przez zbirów niemieckich w Oświęcimiu, w Majdanku i w innych katowniach, wśród kilku milionów narodowych męczenników.

Po pięciu i pół latach ucisku, jakiego nie znały dotychczasowe dzieje ludzkości, na ziemiach polskich, oswobodzonych od barbarzyńskich katów przez zwycięskie wojska Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich wraz z dziesięciu dywizjami I Armii Polskiej, obudziło się znowu życie narodowe. Z gruzów poniszczonych miast, z popiołów spalonych wsi począł się od razu bujny ruch kulturalny. Począł się w nieprawdopodobnie ciężkich warunkach, ale z całym zrozumieniem potrzeby co najrychlejszego powetowania tych szkód, jakich na żywym organiźmie narodu, na jego dobrach duchowych i materialnych, dokonali teutońscy barbarzyńcy. Stanęliśmy oto wobec nowej rzeczywistości dziejowej, wobec nowych zadań, jakie podjąć należało, aby od podstaw budować wolną Polskę demokratyczną w wyzwolonym świecie powszechnej pracy twórczej. Literatura polska, świadoma swego powołania, od razu stanęła do apelu wraz z polskim robotnikiem, wraz z polskim chłopem i wraz z demokratyczną inteligencją polską.

Praca ta rozpoczęła się naprzód w Lublinie. Wkrótce po oswobodzeniu tej części Polski powołano tam do życia Związek Zawodowy Literatów Polskich, którego tymczasowy zarząd główny stanowią: Julian Przyboś (przewodniczący), Adam Ważyk (sekretarz), Jerzy Putrament, Józef Wasowski, Mieczysław Jastrun, Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki. Pod opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki przystąpiono do organizowania ruchu literackiego. Zakrojona na szeroką skalę spółdzielnia wydawnicza pod nazwą „Czytelnik" wydaje czasopismo literackie p. t. „Odrodzenie" pod redakcją Juliana Przybosia i Karola Kuryluka, dawnego redaktora lwowskich „Sygnałów". Pod koniec roku 1944 wydano w Lublinie staraniem Związku Zawodowego Literatów Polskich cztery pierwsze zbiorki poezji, które nareszcie mogły się jawnie ukazać. Są to Juliana Przybosia: „Póki my żyjemy", Jerzego Putramenta: „Wojna i wiosna", Adama Ważyka: „Serce granatu" i Mieczysława Jastruna: „Godzina strzeżona". Oprócz wymienionych znaleźli się w Lublinie z dawniej znanych pisarzy: Stanisław Piętak, Juliusz Kleiner i in. Z młodych talentów zwrócili uwagę: Julia Hartwig, Anna Kamieńska i Jerzy Pleśniarowicz.

Nowym etapem w rozwoju ruchu literackiego stało się wyswobodzenie Krakowa, gdzie już w kilka dni po wypędzeniu w popłochu uciekających Niemców przystąpiono do organizowania Związku Zawodowego Literatów Polskich. Skupiła się tu największa liczba pisarzy polskich, obok bowiem krakowskich znaleźli się też pisarze warszawscy, poznańscy i śląscy. Związek liczy tam obecnie około 150 członków. W skład pierwszego zarządu tymczasowego, wybranego na walnym zebraniu oddziału krakowskiego z końcem stycznia b. r., weszli: Kazimierz Czachowski (przewodniczący), Jan Wiktor (skarbnik), Stanisław Witold Balicki (sekretarz), Kazimierz Wyka, Tadeusz Breza, Helena Wielowieyska i Witold Zechenter. Na urządzonym tamże pierwszym publicznym poranku literackim oprócz wyżej wymienionych wystąpili nadto: Czesław Miłosz, Stanisław Piętak, Stanisław Dygat, Tadeusz Kwiatkowski, Juliusz Kudryński, Wojciech Żukrowski, Jerzy Lau, Adam Włodek. Utwory poetów z wydanych w Lublinie zbiorów świetnie recytował art. dram. Władysław Woźnik. W przeniesionym z Lublina do Krakowa tygodniku „Odrodzenie", wychodzącym nadal pod tą samą redakcją, rozpoczęto druk nowej powieści Zofii Nałkowskiej pt. „Węzły życia". „Dziennik Polski", wychodzący w Krakowie pod redakcją Jerzego Putramenta, drukuje co niedziela dwie kolumny poświęcone literaturze, które redaguje St. Wit. Balicki. Z zamieszczonych tam utworów wyróżniają się poezje Czesława Miłosza, Artura Marii Świnarskiego, Juliana Wołoszynowskiego, proza opisowa Stanisława Dygata, felieton krytyczny Adama Włodka i in. W przygotowaniu wydawnictwo miesięcznika literackiego w formacie książkowym o objętości 250—300 stron druku. Nadto nowe książki poetyckie i powieściowe nakładem organizującej się w Krakowie lubelskiej spółdzielni „Czytelnik". Ważnym ośrodkiem ruchu literackiego w Krakowie stanie się wkrótce dom Związku Zawodowego Literatów Polskich przy ul. Krupniczej 22, gdzie znajdą pomieszczenie biura Związku, czytelnia i sala odczytowa, biblioteka i pokoje do pracy, stołówka i mieszkania dla pisarzy.

Z kolei rozwija się życie literackie w Łodzi, gdzie przygotowuje się wydawnictwo pisma literackiego. W Łodzi działać mają obecnie: Zofia Nałkowska, Pola Gojawiczyńska, Stanisław Piętak, Mieczysław Jastrun. Z okolic podwarszawskich przenosi się tam Jarosław Iwaszkiewicz, którego gościnny dom w Podkowie Leśnej był po powstaniu warszawskim schronieniem dla wielu pisarzy. Z obozów niemieckich powrócili już szczęśliwie: Leon Kruczkowski, Stefan Flukowski, Stan. R. Dobrowolski. W pismach warszawskich drukują: Jan Nepomucen Miller, Irena Krzywicka, Wacław Rogowiec, Edward Kozikowski.

Wobec przeniesienia się rządu Rzeczypospolitej z Lublina do Warszawy na Pragę, siłą rzeczy Praga staje się wydatnym ośrodkiem życia kulturalnego oswobodzonej Polski. Pod hasłem odbudowy Warszawy, zburzonej i wypalonej przez Niemców z niesłychanie barbarzyńskim okrucieństwem, na Pradze poczyna się nowy ruch kulturalny. Tutaj ma już swą nową siedzibę Ministerstwo Kultury i Sztuki. Stąd roztoczy się opieka nad nowym życiem literatury polskiej, której główną ostoją staje się zrekonstruowany i osadzony na mocnych podwalinach Związek Zawodowy Literatów Polskich. Sami pisarze bowiem są powołani i obowiązani do kształtowania swego życia społecznego i do torowania nowych dróg dla swej twórczej pracy w wolnej Polsce.



Pałac Staszyca



Krakowskie Przedmieście, róg Traugutta



Artyleria radziecka w Karpatach



Chłopi słowaccy witają Armię Czerwoną chlebem i solą



Zwiad w górach

JERZY PAŃSKI

ŹRÓDŁA WIELKOŚCI

II

W roku 1918 wracałem do kraju z emigracji, kiedy w Polsce funkcjonowały jeszcze niemieckie władze okupacyjne. Armia niemiecka pozornie znajdowała się wówczas—po załamaniu się frontu wschodniego—u szczytu swej potęgi; i maszyna wojskowa Hindenburga istotnie działała jeszcze wcale sprawnie. W obozie koncentracyjnym w Kownie, dokąd dla „sprawdzenia" trafiali wszyscy reemigranci, podziwiać mogłem nienaganny dryl wojskowy i upodobanie, z jakim niemieccy wachmistrze żandarmerii już wówczas nosili szpicruty. Nie było jeszcze wtedy hitlerowskiego obyczaju duszenia uwięzionych w kamerach gazowych; niemniej już wówczas właśnie to, co było w nas ludzkie, budziło nieokiełznany dziki śmiech naszych dozorców, tak że czuliśmy się potrosze jak ludzie, zamknięci w klatce przez małpy. Ale jednocześnie co drugi żołnierz niemiecki, wyciągnięty na rozmowę, pytał z westchnieniem: „Kiedy wreszcie skończy się ta wojna?" Maszyna działała jeszcze sprawnie, ale była tylko maszyną. Sprawność zachowała zresztą do końca. Warunki rozejmu, podpisane w Compiègne, nakazywały całej armii niemieckiej, znajdującej się na froncie zachodnim, wycofanie się za Ren w niezwykle krótkim czasie. Było to nadzwyczaj trudne do wykonania, bowiem do użytku był tylko jeden most. Słynny później generał Groener, wówczas specjalista do spraw komunikacji w niemieckim sztabie generalnym, opracował szczegółowy plan ewakuacji, który określał ściśle godzinę i minutę wkroczenia każdej formacji na most. Tylko niezwykle dokładne wykonanie tego planu uchroniło armię niemiecką od straszliwej katastrofy: jeden nieprzewidziany zator na drodze cały ten plan mógł przecież wywrócić. Wojna była przegrana, armia była zdemoralizowana, chciała powrócić do domu i rozprawić się z tymi, którzy ją na wojnę posłali, a śród nich i z własnymi oficerami — ale maszyna pozostała maszyną do końca.

Klęska armii hitlerowskiej w tej wojnie jest przede wszystkim właśnie klęską maszyny. Nie maszyny jako broni wojennej, bo ta panuje dziś, jak nigdy dotąd, na polach bitew; ale maszyny jako wewnętrznej treści armii. Armia hitlerowska była szczytowym punktem rozwoju nowoczesnej armii, takiej, jaka się sformowała w ciągu ubiegłego stulecia. Uległa nie lepszej od siebie maszynie wojennej, tylko armii zbudowanej na innej podstawie, armii o innej treści wewnętrznej. Kondotierzy lepiej może umieli się bić od regularnej armii, ale epoka kondotierów minęła; pospolite ruszenie mniej miało wartości bojowej od zawodowego żołnierza, ale rozwój armij nowoczesnych szedł w kierunku pospolitego ruszenia. Ta ewolucja — od kondotierów do armii zaciężnej, od armii zaciężnej do powszechnej służby wojskowej — nie była tylko wyrazem poszukiwania form coraz większej siły militarnej; była także wyrazem ewolucji form społecznych, była przemianą treści wewnętrznej armii, spowodowaną zmianami treści wewnętrznej społecznego życia. Wnosiła ona do armii nowego ducha, nowe podstawy spoistości i mocy. Armia Wielkiej Rewolucji Francuskiej nie dlatego zwyciężała, że była silniejsza, ale dlatego, że była nową formacją społeczną w stosunku do armii legitymistycznej interwencji. I niewątpliwie armia napoleońska odnosiła zwycięstwa nie tylko, a może i nie tyle dzięki talentom strategicznym swego wodza, ile właśnie dlatego, że w tej armii panował nowy duch, że jej wartość moralna była wyższa, niż wartość moralna armii pruskiej czy austriackiej. Duch legionów Bonapartego — to był ten sam duch, z którego zrodził się romantyzm. Jak romantyzm zwyciężył w poezji, tak legiony zwyciężały na polu bitwy.

Otóż armia hitlerowska w tym znaczeniu właśnie zetknęła się z nową armią. Nowa formacja społeczna, jaką jest Związek Radziecki, stworzyła nowego żołnierza, — żołnierza, który ma poczucie, że jest nie tylko kółkiem czy trybem maszyny wojennej, ale jej duszą. Nowa formacja społeczna była tym podłożem, na którym wyrósł oficer, bijący niemieckich generałów, i strategia wyższa i doskonalsza niż niemiecka. Nowa formacja społeczna stworzyła zaplecze bardziej zdolne do obrony i zwycięstwa, bardziej prężne, niż zaplecze „wzorowego" państwa militarystycznego.

Kiedyśmy w roku 1939 opowiadali żołnierzom sowieckim o pierwszych niemieckich wyczynach na polskiej ziemi — wywoływało to zdumienie i niedowierzanie. Dla zwykłego sowieckiego człowieka było to rzeczą niepojętą, że mogą istnieć ludzie, którzy bez powodu palą wsie, którzy znęcają się nad bezbronnymi i pastwią się nad dziećmi, którzy mogą rzeczywiście i na serio marzyć o przywróceniu czasów niewolnictwa. Nasze wiadomości o Niemcach były wówczas bardzo nikłe w porównaniu z tym, co wiemy dzisiaj; dla Rosjan brzmiały one jak bajka. Przyszedł jednak rok 1941, i żołnierz sowiecki ujrzał prawdę — zobaczył to, co słyszał od nas, i znacznie więcej jeszcze. I poszedł na wojnę nie z obowiązku, nie z musu, nie z desperacji, ale z najgłębszej wewnętrznej potrzeby. Poszedł bronić swego życia przed zagładą, swej wolności przed niewolą — bo nauczył się cenić swe życie i swoją wolność. Hitler na próżno usiłuje dziś wmówić swym volkssturmistom, że walczą o istnienie Niemiec i swoje własne; żołnierz niemiecki pięć lat wojował na cudzej ziemi, rabował obce miasta, palił nieznane wsie, pięć lat był kondotierem, wynajmującym się do nabijania cudzego trzosa za tę cenę, że i jego trzos się przy tym napełni. Teraz jest już za późno, by kondotiera przerabiać na obrońcę ojczyzny. Sowieckiego żołnierza nikt do wojny nie namawiał, nikt mu nie obiecywał łupów, nikt go nie musiał pouczać o obowiązku obrony ojczyzny. Jego ojczyzna jest dlań pojęciem konkretnym, zrozumiałym i bliskim. To pojęcie łączy się dlań bezpośrednio z poczuciem osobistej wolności i osobistego szczęścia, jest równoznaczne z życiem samym. Poszedł na wojnę tak, jakby poszedł bronić własnego domu przed napaścią; ale to poczucie, że dom, którego trzeba bronić, jest jego własnym domem — to właśnie jest wyższość tej formacji społecznej nad formacją hitlerowskiego wojska.

I wydaje mi się, że jeśli trzeba dowodu na to, czym jest wojna obecna dla żołnierza Czerwonej Armii — trudno o dowód wymowniejszy niż to, jaki jest jego stosunek do wojny dzisiaj, kiedy czwarty jej rok już niemal dobiega końca. Myślę, że teorię blitzkriegu przyjęli Niemcy nie tylko dlatego, że na długotrwałą wojnę brak im surowców, ale i dlatego, że w wojnie zaborczej żołnierz szybko się nuży. Jeśli na początku roku 1918 wilhelmowscy wojacy byli wojną znużeni do szczętu — jakże straszliwe znużenie i rozczarowanie panować musi w Niemczech dzisiaj! Znużenie jednak po tamtej wojnie było powszechne; trwała ona cztery lata, i w gruncie rzeczy na długo przed jej zakończeniem wszyscy mieli jej dość. Ta wojna jest od tamtej nierównie straszliwsza; wobec piekła współczesnego frontu życie okopowe z lat 1914—1918 wydaje się beztroską sielanką, niby emocjonująca wycieczka kajakowa w porównaniu z burzą na oceanie. A jednak czy żołnierz rosyjski jest znużony wojną? Zapewne chciałby, żeby się już skończyła, by móc powrócić do spokojnego życia; ale tego końca nie wyobraża sobie inaczej, niż w postaci zwycięstwa, i nigdy go sobie inaczej nie wyobrażał, nawet wówczas, kiedy się bił pod Majkopem. Myślę, że gdyby dziś zaproponować pierwszemu z brzega żołnierzowi sowieckiemu: możesz iść do domu, wojna jest skończona, ale Hitler zostaje w Berlinie, — splunąłby tylko i poszedł dalej — na zachód. I jestem pewien, że gdyby Hitler powiedział swym żołnierzom: idźcie do domu, wojna jest skończona, a na konferencji pokojowej co będzie to będzie, choćby nawet miał przyjść „krwawy Mongoł" — niewielu znalazłby niezadowolonych.

To poczucie, że choć praca jest ciężka, nie można jej zakończyć, póki Hitler nie będzie wisiał, żołnierz przynosi ze sobą na front z głębi kraju. Bo nie on jeden tak myśli: tak myślą wszyscy sowieccy ludzie. Tak samo myśli robotnik, pracujący za czterech w fabryce, kołchozowa dziewczyna prowadząca traktor, nauczycielka w nieopalonej szkole. Klęski i niedole, jakich doznała ludność tego kraju w czasie wojny, z niczym się chyba porównać nie dadzą; i cóż byłoby dziwnego, gdyby ten lub ów mówił sobie w chwili ostatecznego znużenia: niechby już to jakoś tam się skończyło, byleby mieć spokój! Ale tego właśnie nie mówi nikt; ani dziś, kiedy zwycięstwo jest bliskie, ani wczoraj, kiedy wydawało się dalekie; nie mówił tego nikt w oblężonym, głodnym Leningradzie, ani w fabryce śród mroźnych syberyjskich stepów, i jeśli dziś usłyszycie w jakimś moskiewskim ogonku sarkanie na wojnę, będzie ono miało zawsze jedną niezmienną formę: a bodaj się już raz ten Hitler udławił! To nie jest błahy szczegół, tego dowodu nie należy lekceważyć, bo w nim właśnie tkwi cała „morale" sowieckiego żołnierza i sowieckiego obywatela, w nim się właśnie wyraża ta świadomość obywatelska, którą Armia Czerwona pokonała armię Hitlera. Niemcy na froncie mieli armię kondotierów i bandytów, w zapleczu armię „dekowników" i niewolników cudzoziemskich; Związek Radziecki ma i na froncie i w zapleczu armię świadomą swej roli, swego celu, swego posłannictwa.



Bateria artylerii na pozycji ogniowej w Karpatach

I myślę, że w tej płaszczyźnie właśnie rozwiązywać należy „zagadkę" sowieckiego bohaterstwa. W istocie, postawa sowieckiego żołnierza w tej wojnie może być zagadkowa dla tego tylko, kto chce go mierzyć miarą zwykłych żołnierzy państw militarystycznych. Termin „bohaterstwo" jest jednym z najczęściej używanych i nadużywanych w czasie wojny. Za bohaterstwo uważa się pogardę śmierci, a często i zobojętnienie wobec śmierci; na bohatera pasuje się każdego, kto wykazuje pewną dozę odwagi lub śmiałości. Zapomina się o tym, że w pojęciu bohaterstwa zawiera się nieodłącznie pewna kwalifikacja moralna. Odważny może być bandyta, śmiały potrafi być włamywacz, i morderca, mówiący z flegmą, gdy go prowadzą na szafot — „wiem, że będę wisiał i gwiżdżę na to" — wykazuje bardzo wiele pogardy śmierci. Istnieje jednak wyraźna granica między bohaterstwem i zawadiactwem; i szukać jej trzeba właśnie w moralnej kwalifikacji czynu. Nie ma bohaterstwa, które uszlachetnia; jest tylko bohaterstwo, zrodzone ze szlachetności. Dlatego żołnierz niemiecki, choćby się bił najlepiej, nie może być bohaterem: nie ma bohaterstwa, gdy chodzi o łup, o rychły powrót do domu, lub nawet o własne życie. Bohaterstwem sowieckiego żołnierza jest właśnie jego postawa moralna, i dlatego słusznie się mówi w Związku Radzieckim o bohaterstwie pracy w zapleczu. „Taran" lotniczy jest takim samym bohaterstwem, jak uruchomienie czusowskiego wielkiego pieca; to i tamto jest tylko wyciągnięciem takich konsekwencyj z własnej niewzruszonej postawy moralnej, jakich wymagają okoliczności.

Mówiło się o bohaterstwie i w czasie tamtej wojny; ale gdy się skończyła, rychło o nim zapomniano. W całej literaturze powojennej nie znalazł się pisarz, który by właśnie bohaterstwo wywyższył; a najlepsza bodaj z powieści wojennych — „Spór o sierżanta Griszę" A. Zweiga — jest powieścią o znikomości człowieka i jego losów wobec potworności wojny. Nawet Sheriff, który w swym „Kresie wędrówki" szukał moralnego usprawiedliwienia dla wojny, nie znalazł nic prócz szlachetnego koleżeństwa; i jeden tylko Mussolini ryczał, że „wojna jest tym dla mężczyzny, czym macierzyństwo dla kobiety". Cały zakłamany pacyfizm z okresu między dwiema wojnami powstał z tego właśnie przekonania o bezsensowności wojny, o bezwartościowości czynu ludzkiego na wojnie. Kiedy dzisiaj się czyta przedwojenne pacyfistyczne pamflety, zdumienie ogarnia, jak uboga i bezideowa była cała ich argumentacja. Przeglądałem niedawno zbiór felietonów Słonimskiego; nie był to pacyfista szczególnie twórczy, jeśli chodzi o oryginalność jego koncepcyj; był jednak dość wiernym odbiciem zawartości ideologicznej swego obozu. Całe jego stanowisko bez wypaczenia da się ująć krótko: ponieważ ani ja nie chcę, by mnie zabito, ani nikt sobie tego nie życzy — z jakiej racji mamy pozwalać na to, by kilku panów z wąsikami lub bródką usiłowało nas wymordować? Kilku panów — to „geszefciarze, fabrykanci amunicji i zawodowi oficerowie, dla których wojna jest businessem". Jest to rozumowanie człowieka, który się boi, że go tramwaj przejedzie, i dlatego tramwaje uważa za zmowę geszefciarzy przeciwko swemu życiu. A przecież było to mówione nie o jakiejś abstrakcyjnej wojnie w ogólności, ale o zaczynającej konkretyzować się już wówczas, nieuchronnej wojnie z Niemcami! „Gdzież są ci ludzie — wołał Słonimski — tak ciężko obrażeni przez Niemców, tak desperacko zrozpaczeni krzywdą, że już mają dość pokoju i gotowi są z motyką porywać się na najpotężniejszy naród na kontynencie?" A skarcony przez profesora Chrzanowskiego pisze: „Według prof. Chrzanowskiego głoszenie pacyfizmu jest w sprzeczności z rozsądkiem i patriotyzmem. Czy nawet wtedy, gdy wróg jest znacznie silniejszy i wojna musi skończyć się przegraną? Dzisiaj więc np. trzeba być głupcem i wrogiem kraju, aby nie podjudzać do wojny z Niemcami!... Tylko dureń i zdrajca może być zwolennikiem pokojowego załatwienia konfliktów polsko-niemieckich!... I tak myśli historyk literatury, profesor, nauczyciel i wychowawca".

Mniejsza o to, że jeśli za Słonimskim zalecać pacyfizm tylko narodom słabym, a zwalniać od tego luksusu „silniejszych wrogów", zajechać można znacznie dalej, niż do Monachium. Ale zdaje mi się, że jednak porwaliśmy się z motyką na „najpotężniejszy naród na kontynencie" i dobrześmy zrobili. Okazało się, że ten najpotężniejszy naród szerzy na kontynencie zgniłą zarazę, i że wojna nie jest businessem zawodowców, lecz sprawą najświętszą. Okazało się, że, aby się godzić z tym „pokojowym załatwieniem konfliktów polsko-niemieckich", jakie szykował nam Beck, trzeba było w istocie być durniem lub zdrajcą, głupcem lub wrogiem kraju.

Rację miał nie Słonimski, lecz profesor Chrzanowski — mimo że Chrzanowski zginął od niemieckiej kuli, a Słonimski wylądował ze swym pacyfizmem w Londynie.

Myślę, że powieść realistyczna, jaka powstanie po tej wojnie, przeniknięta będzie pacyfizmem czynnym i twórczym. Że będzie budowała pokój na umiłowaniu wolności, na powszechnym prawie do życia i szczęścia. Że będzie budowała pokój na nienawiści do przemocy i do wszelkich źródeł tej przemocy. Że będzie budowała pokój na sile tych, którzy takiego właśnie pokoju bronić potrafią. I że nie wyrzeknie się ofiary tych, którzy przewodzili ludzkości w walce o taki pokój na ziemi.

NOWA WIEŚ

CELE I ZADANIA ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

Związek ma na celu nie tylko organizację spółdzielczości, spółdzielczy zarząd nad resztówkami dworskimi i podniesienie kultury i oświaty na wsi, przed Związkiem Samopomocy Chłopskiej stoją ważne zadania chwili. Po reformie rolnej powstało wiele nowych gospodarstw wiejskich, sporo gospodarstw zniszczyły działania wojenne. Należy zaopatrzyć je w zboże siewne, siłę pociągową i budulec. Zagadnienia te rozwiąże pomoc wzajemna chłopów, zorganizowana przez Związek Samopomocy Chłopskiej.

Wojsko Polskie przy pomocy Armii Czerwonej wytyczy granice naszego państwa na Odrze i Nissie. Uzyskamy nowe wielkie obszary ziemi, na której można będzie osadzić około miliona rodzin chłopskich. Sprawą przesiedlenia tych rodzin na ziemie zachodnie Pomorza i Prus Wschodnich zajmie się Związek Samopomocy Chłopskiej.

Członkami Związku staną się małorolni i średniorolni chłopi polscy, inteligencja wiejska i wszyscy ludzie, związani z rolnictwem przez charakter swej pracy.

Jak widzimy, jest to potężna organizacja gospodarcza, polityczna i zawodowa chłopów polskich. Ma przed sobą wielkie zadania i wzniosłe cele: przebudować od podstaw wieś polską. Uczynić ją zamożną i kulturalną, zbudować jasne jutro wsi — wsi bez obszarnika i lichwiarza — własnymi, chłopskimi rękami. I taką przyszłość wsi Związek Samopomocy Chłopskiej zbuduje bezsprzecznie.

„Zwyciężymy", 11.I 1945 r.

W pracy pomoże robotnik polski

Chłopi wyciągają bratnią dłoń do robotnika, do tego, który pomógł im ziemię brać, który dziś pomaga zakładać Związek Samopomocy Chłopskiej, a jutro jako ślusarz, traktorzysta, mechanik pójdzie na wieś, by wspólnie z chłopem torować nowe drogi gospodarki rolnej.

„Głos Ludu", 30.XII 1944 r.

Spółdzielczość — środek do osiągnięcia celu

Wszystkie praktyczne zagadnienia Samopomoc Chłopska rozwiązywać będzie przy pomocy „Gminnych Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej".

„Wieś", 8.II 1945 r

Nasza spółdzielczość — to spółdzielczość masowa, demokratyczna

My wszyscy chcemy, aby ten nowy ruch spółdzielczy połączył się ze starym, aby zespoliły się zdolności twórcze z fachowością i doświadczeniem. Żeby tak się stało, musi być spełniony szereg warunków:

Muszą być otworzone szeroko drzwi spółdzielczości dla mas; masy te muszą o spółdzielczości decydować i na wszystkich szczeblach spółdzielczych muszą być przeprowadzone demokratyczne wybory; musi być stoczona bezwzględna walka z pozostałościami po niemieckim okupancie. Trzeba wyplenić kramikarstwo, korupcję, spekulację; trzeba jak najprędzej zerwać z wąskimi zasadami lokalnej rentowności. Cała spółdzielczość musi się nastawić na pracę dla potrzeb całokształtu gospodarki narodowej i działać w myśl interesów tej gospodarki.

Taka odnowiona, demokratyczna, masowa, śmiała, postępowa spółdzielczość będzie korzystała z pełnego poparcia rządu i w takiej spółdzielczości rząd upatruje jedną z głównych dróg społecznej przebudowy, rozbudowy gospodarczej demokracji.

„Głos Ludu", 7.XII 1944 r.

Spółdzielczość przed wojną a dziś

Wtedy ratowała ona chłopa od konkurencji zboża taniego z zagranicy, była środkiem walki z nadużyciami pośrednictwa. Była drobnym lekarstwem na wielką chorobę, przysłowiowym plastrem na ciało trędowatego, „klapą bezpieczeństwa kapitalizmu". Dzisiaj rozmiary związku, obejmującego wszystkich chłopów, jego zasadnicze cele, znacznie istotniejsze niż owej kramarskiej spółdzielczości dawnej, pozycja, jaką mieć będzie w nowym zdemokratyzowanym systemie państwowym, sprawia, że jego rola gospodarcza przewyższa wszelkie osiągnięcia spółdzielcze przedwojenne.

Sam już ten fakt, że do dobrobytu podnosi się taka masa ludzka, i wspólnie — a nie ktoś tam na własną rękę robiący majątek — sam ten fakt ma w sobie doniosłość i patos wykraczający poza znaczenie czysto gospodarcze.

„Wieś", 8.II 1945 r.

Spółdzielczość chłopska włącza się w ogólną sieć spółdzielczości Rzeczypospolitej

4 marca na plenarnym posiedzeniu Rady Naczelnej Związku Spółdzielni „Społem" omówiono zagadnienie zjednoczenia związku gospodarczego „Społem" w Lublinie ze związkiem „Społem" Rzeczypospolitej Polskiej z dotychczasową siedzibą w Krakowie, jak również sprawę ścisłej współpracy ze Związkiem Samopomocy Chłopskiej. Postanowiono utworzyć komisję planowania gospodarki spółdzielczej.

Polpress, 6.III 1945 r.

CHŁOPI ORGANIZUJĄ SIĘ

Zjazdy Chłopskie

W grudniu odbyły się Wojewódzkie Zjazdy Chłopskie:

W Lublinie przy udziale 598 delegatów i ponad 200 gości — działaczy chłopskich z terenu województwa.

W Mińsku Mazowieckim dla wyzwolonej części województwa warszawskiego, przy udziale ponad 150 delegatów.

W Białymstoku przy udziale 185 delegatów.

W Sandomierzu (dla wyzwolonej części województwa kieleckiego). W Zjazdach wzięli udział przedstawiciele wszystkich warstw pracujących wsi.

Na Zjeździe Chłopskim w Lublinie, poza przedstawicielami małorolnych i wczorajszych fornali, brało udział ponad 100 chłopów średniorolnych i ponad 80 przedstawicieli inteligencji wiejskiej.

W Zjeździe białostockim brało udział 40 chłopów średniorolnych i 22 przedstawicieli inteligencji wiejskiej.

W Zjeździe mińsko-mazowieckim wzięło udział około 20 chłopów średniorolnych i około 10 przedstawicieli inteligencji wiejskiej.

Na wszystkich Zjazdach uchwalono przystąpić do tworzenia Związku Samopomocy Chłopskiej.

„Głos Ludu", 19.XII 1944 r.

I KONGRES CHŁOPSKI DEMOKRATYCZNEJ RZECZYPOSPOLITEJ

Zwołanie Kongresu Chłopskiego

Centralna Komisja Porozumiewawcza Stronnictw Demokratycznych, zebrana na posiedzeniu w dniu 7 grudnia 1944 r., postanowiła:

Zwołać w związku z zakończeniem podziału ziemi obszarniczej na terenach wyzwolonych na dzień 15 i 16 grudnia 1944 r. Ogólnopolski Kongres Chłopski.

„Głos Ludu", 9.XII 1944 r.

Akcja przygotowawcza

Zjazdy były masowe. Delegaci — to rdzenni chłopi, to ludzie najściślej związani z wsią, najgłębiej odczuwający i rozumiejący potrzeby i dążenia zarówno chłopa średniorolnego, jak małorolnego lub robotnika rolnego.

Przedstawicielstwo chłopów lubelskich wyłonione zostało częściowo na zjazdach powiatowych, częściowo na uroczystych obchodach zorganizowanych na zakończenie reformy rolnej. Chłopi rzeszowscy obradowali na wojewódzkim zjeździe Stronnictwa Ludowego. Białostockie i Warszawskie roztrząsało te sprawy na masowych zebraniach chłopskich. Kieleckie zwołało zjazd delegatów wyzwolonych wsi.

Na zjeździe przedstawicieli woj. lubelskiego było: 21% średniorolnych, 64% małorolnych, 15% inteligencji wiejskiej. Białostockie dało: 22% średniorolnych, 60% małorolnych, 11% inteligencji, 7% drobnych rzemieślników wiejskich. Podobnie było na pozostałych zjazdach.

„Głos Ludu", 29.XII 1944 r.

Na sali obrad

Za stołem prezydialnym zasiadają przedstawiciele chłopów, robotników i inteligencji pracującej. Zjazd otwiera chłop — dzisiaj wicepremier Rządu Tymczasowego, ob. Stanisław Janusz.

„Zwyciężymy", 4.I 1945 r.

Sprawozdanie Komisji Organizacyjnej

W Kongresie brało udział 1.300 delegatów, wybranych na mniejszych i większych zgromadzeniach chłopskich. Kongres reprezentuje całość chłopstwa z terenów wyzwolonych, jest prawdziwym Kongresem Chłopskim.

Wśród uczestników Kongresu są ludowcy, peperowcy, członkowie PPS i Stronnictwa Demokratycznego oraz bezpartyjni. Jasne jest, że najliczniej reprezentowane jest Stronnictwo Ludowe i Polska Partia Robotnicza, jako partie najsilniej związane z chłopem.

„Głos Ludu", 3.I 1945 r.

Osiągnięcia i postulaty

(Z wystąpień delegatów)

Ob. Biernacki Jerzy z Węgrowa opowiada, że na pierwszy powiatowy zjazd Samopomocy przybyli chłopi tak licznie, że żadna sala w mieście nie mogła pomieścić zebranych. Obradowali pod gołym niebem.

— Jeszcze przed zrealizowaniem reformy rolnej zorganizowaliśmy samorzutnie w naszym powiecie związek małorolnych i bezrolnych chłopów w liczbie 6 tys. ludzi. (Na sali huczne oklaski). Dziś organizujemy się w jeden Związek Samopomocy Chłopskiej. Mamy już pierwsze wkłady pieniężne do naszych spółdzielni.

— W naszym woj. białostockim — mówi delegat — tak jak reforma rolna została szybko przeprowadzona, tak i z organizowaniem Związku Samopomocy długo nie będziemy się bawić. Tak w jednym wypadku, jak i w drugim najwydatniej pomagała nam Polska Partia Robotnicza. (Oklaski). Powstały już u nas zarządy gminne i powiatowe. Związek liczy już 20 tys. członków.

Ob. Wengierow wysuwa projekt stworzenia Związku Gospodarczego łączącego spółdzielczość wsi i miasta. Do tego związku weszliby przedstawiciele Związków Zawodowych i Samopomocy Chłopskiej. Ścieśniłoby to jeszcze sojusz robotniczo-chłopski.

...Trzeba pomyśleć przede wszystkim o mózgu i sercu chłopa, o wychowaniu i szkolnictwie. Muszą powstać gimnazja i szkoły zawodowe. A więc: technika rolnictwa, sadownictwa, prowadzenia pasieki itd. Wśród chłopów są często spory o miarkę zboża, o gęś, — spory te powinni oni załatwiać przy pomocy miejscowych sądów przysięgłych.

...Związek Samopomocy Chłopskiej musi objąć opieką żony żołnierzy i wdowy po tych, którzy krew swą oddali Ojczyźnie.

„Głos Ludu", 3.I 1945 r.

CHŁOPI PRZYSTĘPUJĄ DO BUDOWY NOWEJ WSI

Inicjatywa chłopska

Wojewódzki Kongres Chłopski upoważnił nowowybrany tymczasowy Zarząd Wojewódzki do przedłożenia rządowi wniosku, domagającego się zniesienia Izb Rolniczych, referatów rolnych przy Radach Wojewódzkich i Powiatowych i stworzenia jednego Urzędu Rolnego, podległego Ministerstwu Rolnictwa i Reform Rolnych, który by ściśle współpracował ze Związkiem Samopomocy i na nim się oparł, jako na czynniku społecznym.

Zarząd postanowił wezwać pełnomocników do spraw reformy rolnej oraz Wydziały Rolne i Powiatowe Urzędy Ziemskie, aby w ciągu 2 tygodni dostarczyć danych statystycznych co do obszarów nie obsianych na terenie województwa lubelskiego — celem przystosowania planu zasiewów wiosennych.

Zgodnie z uchwałą Zjazdu Wojewódzkiego, Zarząd Wojewódzki zwrócił się do rządu o przekazanie wszystkich resztówek poobszarniczych jak: młyny, gorzelnie, ogrody, stawy rybne, krochmalnie, browary, plantacje chmielu, szkółki drzew owocowych itp.

„Głos Ludu", 20.XII 1944 r.

Współpraca z administracją

Z. S. Ch. w Białymstoku współpracuje ściśle z Wojew. Izbą Rolniczą i Wojew. Urzędem Ziemskim. Izba Rolnicza, zgodnie z zarządzeniami władz centralnych, jest całkowicie podporządkowana Zarządowi Wojew. S. Ch. i pracuje ściśle w myśl jego wytycznych. Jako fachowy organ Związku S. Ch. prowadzi Izba Rolnicza dział budowlany, określając zapotrzebowanie na budulec dla osad zniszczonych przez działania wojenne, opracowuje wzorowe typy osad chłopskich, sprawuje opiekę nad hodowlą bydła, nad pszczelarstwem, zajmuje się oceną nasion, popieraniem zielarstwa i in. Izba Rolnicza zająć się ma również organizacją szkół rolniczych. Najważniejszym zadaniem, które ma być rozwiązane wspólnym wysiłkiem Z. S. Ch. i Izby Rolniczej, jest kwestia wiosennej kampanii siewnej.

Najważniejszym również zadaniem stojącym zarówno przed Z.S.Ch. jak Wojew. Urzędem Ziemskim jest przeprowadzenie reformy rolnej na obszarze około 40.000 ha, położonych na terenach nowowyzwolonych powiatów naszego województwa. Urzędy Ziemskie ustalają, jakie majątki podlegają parcelacji i wydelegowują personel techniczny celem przeprowadzenia podziału ziemi. Związek Sam. Ch. montuje aparat pełnomocników powiatowych i gminnych i dopilnowuje, aby cała akcja odbyła się sprawnie i bez błędów.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

W Rzeszowskiem

23 grudnia ukazał się w Rzeszowie pierwszy numer gazety „Samopomoc Chłopska", w którą przekształcił się Biuletyn Reformy Rolnej.

„Głos Ludu", 26.I 1945 r.

W korespondencjach chłopi donoszą, że w Czudcu, w pow. rzeszowskim, już sobie stworzyli spółdzielnię maszyn, która im będzie pomagać przy obróbce ziemi.

„Głos Ludu", 27.I 1945 r.

W Krakowskiem

Dnia 4 marca odbył się w Krakowie wojewódzki kongres Związku Samopomocy Chłopskiej, na który przybyło kilka tysięcy chłopów, wice-premier Maślanka, przedstawiciele władz miejskich, związków zawodowych i wojska.

Polpress, 6.III 1945 r.

W woj. warszawskim

Związek Samopomocy Chłopskiej na dotychczasowym terenie działalności przystąpił już do zorganizowania kursów dla obsługi traktorów oraz kursów dla księgowych i kierowników spółdzielni gminnych.

Ponadto ludność ma przystąpić do budowy i naprawy dróg oraz elektryfikacji wsi. Przodujące stanowisko w tych poczynaniach wykazują powiaty miński i węgrowski wojew. warsz. Stan organizacji w tym województwie: 17.000 członków, 74 Zarządy Gminne.

„Głos Ludu", 30.I 1945 r.

Na terenie województwa warszawskiego Związek Samopomocy Chłopskiej szybko rozrasta się w potężną organizację, jednocząc w ciągu krótkiego czasu działania około 28.000 chłopów.

Dla naprawy zniszczeń, spowodowanych działaniami wojennymi, Związek uzyskał od Dyrekcji Lasów Państwowych w Siedlcach 2000 m^3 drzewa budulcowego. W bogatym w owoce powiecie grójeckim zorganizowano przy Związku spółdzielnie dla zbytu tych owoców. W tym samym powiecie zbadano wszystkie stawy rybne, stwierdzając wielki nadmiar narybku, który postanowiono rozprowadzić po innych, uboższych w ryby, majątkach. Związek prowadzi akcję przygotowawczą do wiosennych zasiewów. Pod hasłem „Pomoc Bratnia" przeprowadza się na terenie całego województwa zbiór zboża siewnego. Systematycznie szkoli się traktorzystów. W wyniku prac Związku Samopomocy Chłopskiej na terenie województwa warszawskiego cała ziemia będzie bezwzględnie obsiana.

„Głos Ludu", 16.III 1945 r.

ZWIĄZEK SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ PRZY PRACY

Mechanizacja i planowanie

(Wywiad z ob. Wójtowiczem z Mińska Mazowieckiego)

Mamy 378 kół, które liczą przeszło 17.000 członków już zorganizowanych. Jest to na terenie 5 powiatów w 24 gminach.

Np. pow. Węgrów liczy sto kół o ilości 9.000 członków, pow. Mińsk Maz. 198 kół — 6.200 członków, ale należy liczyć się z tym, że liczba ta trzykrotnie i więcej nawet wzrośnie.

Budujemy własną zaporę wodną, która pozwoli nam zaopatrzyć warsztaty przemysłowe w energię elektryczną. Zapora w Rudzienku pozwoli nam spiętrzyć wodę do 25 m wysokości, co w praktyce pozwoli uruchomić cały drobny przemysł i da światło całej okolicy.

Mamy już zorganizowane spółdzielnie zdrowia, które zapewnią nam bezpłatną opiekę lekarską dla naszych rodzin. Zakładamy spółdzielnię piekarską, którą zbudujemy w każdej większej wsi.

Bardzo pilną sprawą jest odbudowa zniszczonych wsi. Przystąpiliśmy do budowy cegielni. Wiosną tego roku staną dwie cegielnie, posiadające 3 piece, z których każdy wypali pół miliona cegieł. Pomoc materialna niepotrzebna, wszystko załatwimy w myśl idei samopomocy chłopskiej we własnym zakresie. Surowiec, t. zn. glinę, mamy w ziemi. Z surowych cegieł zbudowany będzie piec, opał do pieca mamy w lesie, wykorzystując karpinę. Na szopy potrzeba niewiele materiału. W jednej cegielni siłą pociągową jest traktor, w drugiej konie.

Udziałem w spółdzielni jest praca, za którą każdy udziałowiec otrzyma 12.000 cegieł, co pozwoli wybudować dom. Każdy z udziałowców jest obowiązany do dwóch dni pracy w ciągu tygodnia.

Obecnie mamy ponad 2.000 członków. Członkowie rekrutują się nie tylko z mieszkańców wsi, ale również z miast — z warstwy drobnomieszczańskiej i inteligencji.

W taki sam sposób będziemy pracowali nad odbudową dróg — kończy ob. Wójtowicz.

Polpress, 21.I 1945 r.

Cegły, cegły...

Samopomoc Chłopska okolic Mińska Mazowieckiego ma już dziś trzy spółdzielcze cegielnie polowe i cztery mechaniczne.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

Stolarnia zmechanizowana

W okolicach Mińska Maz. jest jeszcze samopomocowa stolarnia zmechanizowana. Dziś stoi niewielka hala drewniana, trochę maszyn i robotnicy uwijają się. Ale Związek rozszerzy i uwielokrotni tę stolarnię. I dla wszystkich we wsi będą tanio: drzwi, okna, ramy, ba nawet meble. Ceny będą takie, ile to rzeczywiście kosztuje — bez zysków. Obok samopomocowych cegielni, betoniarki, tartaków — stolarnie dadzą nam to wszystko, co nam potrzeba.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

W spalonej Kielecczyźnie

W kielecczyźnie spalonej i zrujnowanej bierze się Samopomoc do roboty z miejsca i na całego. Ministrów nawet nie oszczędzają: jednemu (Rolnictwa i Reform Rolnych) na biurku położyli taki rachuneczek: 1.153.220.000 złotych (kosztorys obsiewu 218.529 ha w 50 zniszczonych najbardziej gminach), drugiego (Planowania i Odbudowy) molestują: dajcie, Obywatelu Ministrze, pożyczkę, bo wioski trzeba odbudować, a o dwu miastach też nie zapomnijcie!

„Chłopi", 20.III 1945 r.

Ma Związek kaflarnię, stolarnię spółdzielczą i spółdzielnię pszczelarską „Pasieka".

„Chłopi", 20.III 1945 r.

„Nauka — to potęgi klucz"

W Kieleckiem chcą mieć chłopi w każdym powiecie jeden ośrodek zdrowia i pomocy lekarskiej. I mało, że chcą: organizują. Szkołami też się zajmują: w każdym powiecie ma być jeden uniwersytet ludowy i jedna szkoła średnia ogólnokształcąca — i to na wsi. A ponieważ już stworzono tu i ówdzie to gimnazjum, to szkołę rolniczą, to uniwersytet ludowy — więc teraz zabiega się, żeby otrzymały one pełne prawa i żeby nauczyciele w nich zatrudnieni przeszli na etat państwowy.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

W Sandomierskiem

W Sandomierzu przejęła Samopomoc spółdzielnię „Rolnik". Mówili w wojnę: dojna krowa! Dojna to ona była, ale myśmy tego mleczka nie pijali, myśmy tylko na zgiętych „chamskich" grzbietach, nosem prawie o ziemię się podpierając, żarcie dla niej znosili.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

W powiecie pińczowskim

A we wsi Chroberz, w powiecie pińczowskim, powstał już uniwersytet ludowy Samopomocy Chłopskiej.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

Kamieńczyk murowany

Kamieńczyk leży daleko od świata. Żyją w nim ludzie jakby zabici deskami. Wypaleni, zniszczeni wojną, tułali się po okolicznych lasach szereg tygodni. Front długo zatrzymał się właśnie na ich polach. Nic nie pozostało. Nawet siano wywiezione!

Przed wojną też było ciężko. Ziemi mało — gospodarstwa 1 i 4-hektarowe. Trzeba było dorabiać, żeby żyć. Stąd we wsi aż 100 szewców. Prócz szewców dużo — flisaków. Szewcy i flisacy przed wojną zorganizowali silne Związki Zawodowe we wsi.

Dziś w Związku Samopomocy Chłopskiej pracuje cała wieś. Budują swój młyn w samym środku Kamieńczyka. W starej szopie strażackiej postawili lokomobilę, którą z parcelowanego majątku dostali. Kupili za spółdzielcze pieniądze kamienie młyńskie. I tak spółdzielczy młyn, o którym zawsze marzyli, rusza, słychać jego pracę i poświsty wania nawet na skraju wsi. Technicy już zadecydowali, że do młyna dołączyć można mały tartak. Maszyny już jadą do Kamieńczyka, drwale już budują urządzenia tartaczne i za tydzień czy dwa tygodnie — rusza tartak w Kamieńczyku.

Kamieńczyk leży nad Bugiem. Flisacy zadecydowali wydobywać żwir z Bugu. Maszyna do robienia dachówki jest już we wsi. Teraz starają się o przydział cementu. Wówczas zaczną produkować pustaki, kręgi na studnie, dachówkę.

Dorobek Związku Samopomocy Chłopskiej Kamieńczyka: młyn, tartak, betoniarnia.

Kamieńczyk, do którego nikt nie przyjeżdża, o którego żadna prasa nie dochodzi — przeradza się samodzielnie, własnymi siłami, własną wolą i myślą w nowy Kamieńczyk — Kamieńczyk murowany.

„Wieś", 18.III 1945 r.

Pomoc lekarska na wsi

Przy Zarządzie Głównym Związku Samopomocy Chłopskiej powstał Referat Zdrowia, którego zadaniem jest dostarczenie wsi pomocy lekarskiej, szerzenie higieny i profilaktyki.

Zarząd Związku opracował projekt ambulansów zmotoryzowanych. Lekarz „zmotoryzowany" powinien jeździć ciężarówką, która służyłaby jednocześnie za izbę przyjęć.

Postanowiliśmy uruchomić w województwach, w powiatach, a gdzie się da i w gminach, przy istniejących placówkach leczniczych własne stałe ambulatoria Samopomocy Chłopskiej. Pomoc lekarska w tych ambulatoriach oraz leki udzielane będą członkom naszego Związku bezpłatnie.

Pierwsze takie ambulatorium, które ma posłużyć za wzór innym, otworzyliśmy w Lublinie.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

CHŁOPI POMAGAJĄ PAŃSTWU W ZAGOSPODAROWANIU ZIEM ZACHODNICH

W stosunku do terenów nowowyzwolonych Związek Samopomocy Chłopskiej zajął czynne stanowisko, wyłaniając z Zarządów Gminnych i Powiatowych po dwóch aktywistów w celu przeprowadzenia z Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych następujących zadań: a) zabezpieczenia mienia opuszczonego i przechodzącego na własność ludu, b) popularyzowania idei samopomocy i organizowania jej kadr w terenie, c) wykonania reformy rolnej, d) przeprowadzenia akcji siewnej.

„Głos Ludu", 30.I 1945 r.

* * *

Pierwszy wojewódzki śląski zjazd organizacyjny Samopomocy Chłopskiej zebrany 22.II w Katowicach uchwala:

„Przyrzekamy dołożyć wszelkich starań naszych, by nie została ani jedna piędź ziemi śląskiej nie obsiana. Przyrzekamy w jak najkrótszym terminie zdać Państwu świadczenia rzeczowe — to zboże, które karmi armie walczące i robotnika przemysłowego, pracującego nad odbudową kraju.

W imieniu chłopów śląskich przyrzekamy tak spełniać swoje obowiązki względem naszej ojczyzny, jak spełniają je waleczni nasi żołnierze na frontach".

„Chłopi", 20.III 1945 r.

* * *

Dnia 4 marca odbył się wielki zjazd chłopski w Katowicach. Na zjeździe obecni byli przedstawiciele Władz, Związku Samopomocy Chłopskiej, armii i partii politycznych. Podczas obrad wysunęły się na czoło trzy podstawowe zagadnienia: 1) w jaki sposób oczyścić ziemię śląską z obrzydliwych naleciałości niemieckich; 2) sprawa reformy rolnej i związane z nią podniesienie gospodarki rolnej, aby przyniosła największej korzyści państwu i chłopu i 3) jak zorganizować pracę, która odtąd nie będzie już wyzyskiwana przez rozmaitego rodzaju kapitalistów i posiadaczy. Zjazd podkreślił silne braterstwo, jakie łączy obecnie chłopa, robotnika i pracującego inteligenta. Braterstwo to realizuje się przez wzajemną pomoc w pracach Związku Samopomocy Chłopskiej. Żołnierze są pierwszą linią frontową w walce o Polskę Demokratyczną. Związek Samopomocy Chłopskiej przez prace nad reformą rolną, nad siewem, nad organizowaniem nowych gospodarstw, przez opiekę nad potrzebami materialnymi i kulturalnymi chłopa — stwarza front drugi, nie mniej ważny od pierwszego.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

* * *

Samopomoc Chłopska rozrasta się. W Łodzi powstał wojewódzki Komitet Organizacyjny Związku Samopomocy Chłopskiej.

W województwie poznańskim cztery zorganizowane powiaty przechodzą do Związku Samopomocy.

Z województwa pomorskiego donoszą o samorzutnym organizowaniu się chłopów i robotników w Związek Samopomocy Chłopskiej.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

CHŁOPI GOTUJĄ SIĘ DO SIEWU WIOSENNEGO

Zadanie najpilniejsze, największej wagi

W rozmowie z naszym korespondentem minister Rolnictwa ob. Bertold stwierdził, że Rząd przygotowuje się do pomocy w tej akcji w sposób najbardziej planowy. Ustalono, że na ziemiach wyzwolonych przez pierwszą ofensywę jest 470 tysięcy hektarów, które nie zostały obsiane normalnym zasiewem ozimin. Na ziemiach obecnie wyzwolonych jest takich terenów z pewnością również bardzo dużo.

Państwo przeznaczyło z zapasów kontyngentowych 35.000 ton zbóż jarych na pomoc siewną. Oczywiście tego nie wystarczy, by pomóc wszystkim. Pomoc państwowa będzie okazana tylko powiatom przyfrontowym, t. j. tam, gdzie front zatrzymywał się dłużej i gdzie są ogromne zniszczenia.

Inne powiaty lub poszczególne gospodarstwa muszą liczyć na pomoc sąsiadów, chłopów. Pomoc wzajemną między gospodarzami organizuje Związek Samopomocy Chłopskiej. Chodzi o to, by chłopi posiadający zboże siewne w nadmiarze, ew. inwentarz, użyczyli je tym, którzy ich nie posiadają.

„Głos Ludu", 19.XII 1944 r.

Pomoc bratnia

W terenie postulaty te już realizują się. Np. we wsi Tuchowiec, pow. łukowskiego, ob. Tuchowicz zadeklarował na Fundusz Samopomocy Siewnej 200 kg owsa, 100 kg jęczmienia, 100 kg gryki, 1.000 kg kartofli. Ob. Michalak Antoni z tej samej wsi zaofiarował 500 kg owsa, 100 kg prosa, 300 kg jęczmienia, w formie bezprocentowej pożyczki, zwrotnej po zbiorach.

W czterech gromadach gminy Tuchowiec, pow. łukowskiego, a mianowicie w Tuchowcu, w Celinach, w Antoninie i Józefowie członkowie kół Samopomocy zadeklarowali na Fundusz Samopomocy Siewnej 3.400 kg zboża jarego (owsa, jęczmienia, prosa i gryki) oraz 1.000 kg kartofli.

„Głos Ludu", 2.II 1945 r.

W powiecie warszawskim dotychczas już zebrano na Fundusz Samopomocy Siewnej, zwany „bratnią pomocą", 74 metry zboża jarego.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

Trudności, które będą pokonane

Dalsze trudności — to brak nawozu i brak maszyn, zniszczonych lub zagubionych, a także narzędzi rolniczych. Ministerstwo projektuje zakupienie nawozów sztucznych w Związku Radzieckim. Według obliczeń Ministerstwa potrzeba wszystkiego 1.521.200 ton nawozów sztucznych.

Są to cyfry dla terenów wyzwolonych do września 1944 r. Obecnie potrzeby powiększą się tak bardzo, że nie będzie można prawdopodobnie uzyskać tak wielkiej ilości. Mądre rozdzielenie zapasów nawozów również będzie zadaniem Związku Samopomocy Chłopskiej.

Ubytek sprzężaju wynosi około 1/3, ponieważ wywieźli stamtąd konie uciekinierzy-volksdeutsche, masowo tam osiedleni. Ministerstwo Rolnictwa projektuje nabycie traktorów dla wyrównania braków sprzężaju. Wystarczy to jednak zaledwie częściowo. Tu ma wielkie pole do działania Związek Samopomocy Chłopskiej, który winien zorganizować pomoc na zasadach spółdzielczych, wykorzystując istniejące konie dla wszystkich zasiewów.

„Kampania" siewu to walka, a zwycięstwo to zagwarantowanie życia państwowego. Tu jesteśmy na drugim froncie, który przyniesie owoce pełnego zwycięstwa.

„Rzeczpospolita", 2.II 1945 r.

* * *

W Mińsku Mazowieckim odbyło się 4 marca 1945 r. zakończenie trzytygodniowego kursu dla traktorzystów. 39 absolwentów otrzymało świadectwa. W powiecie pozostały po uciekających Niemcach 52 traktory w większości niezdatne do użytku. W chwili obecnej 47 traktorów już gotowych, naprawionych czeka na sygnał orki wiosennej. To wszystko zrobił Związek Samopomocy Chłopskiej.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

W Łodzi uruchomione jest już 9 fabryk traktorów. Jednocześnie Związek Samopomocy Chłopskiej przeprowadza szereg jedno, dwu lub sześciotygodniowych kursów obsługi traktorów i maszyn rolniczych. Obecnie odbywa się przy udziale 86 uczestników z terenu woj. łódzkiego 6-tygodniowy kurs obsługi technicznej traktorów.

Każda gmina jeżeli nie gromada powinna posiadać swój traktor.

„Chłopi", 20.III 1945 r.

Armia użyczy swych traktorów

Wobec braku środków pociągowych na wsi Wojsko Polskie postanowiło przyjść z pomocą chłopom i w toku kampanii siewnej zaorać własnymi traktorami 20.000 ha.

CHŁOPI KARMIĄ WOJSKO POLSKIE

(Z exposé gen. Roli-Żymierskiego, dowódcy Wojska Polskiego)

...Naród musi zapewnić utrzymanie swojego wojska. Jeżeli chodzi o wyżywienie, stwierdzić możemy, że obecnie Wojsko Polskie niemal całkowicie korzysta ze źródeł krajowych. Chłop polski zaopatruje wojsko w chleb, mąkę, kaszę, makarony, w dużym stopniu w mięso, tłuszcz itd.

„Zwyciężymy", 7.I 1945 r.

* * *

Wspólnie z polskim chłopem do ostatecznego wypełnienia obowiązku wojennych świadczeń rzeczowych muszą stanąć Rady Narodowe, organizacje polityczne, gminne, **Koła Samopomocy Chłopskiej**. Organizacje te wespół z Radami Narodowymi powinny wniknąć w to, aby w granicach gminy były sprawiedliwie rozłożone normy dostaw.

Powinny wniknąć, w jaki sposób i komu rozdane są premie dla rolników.

Gminne Komitety PPR, gminne zarządy Str. Ludowego, **gminne koła Samopomocy Chłopskiej** wespół z przedstawicielami Gminnych Rad Narodowych i Spółdzielni powinny się łączyć w Gminne Komitety Dostaw.

Akcja dostaw odbywa się pod hasłem — chleb dla ziem wyzwolonych, dla Wojska Polskiego, walczącego o wyzwolenie Ojczyzny, dla robotnika — żołnierza zaplecza.

„Głos Ludu", 25.I 1945 r.

SAMOPOMOC — DRUGI ETAP REFORMY ROLNEJ

Związek Samopomocy Chłopskiej przeżywa swoje historyczne dni powstania. Ale jak jest dla nas datą pamiętną dzień 30 grudnia 1944 roku, ostatni dzień ostatniego roku niewoli — gdy na Pierwszym Ogólnochłopskim Zjeździe w Lublinie uchwalono statut Związku — tak samo pamiętną będzie sytuacja, w jakiej Związek się wyłaniał.

Historyczne są trudności i kłopoty, towarzyszące narodzinom Związku. Nie trudno wskazać przyczyny tego stanu, jest ich trzy: 1) brak komunikacji, 2) odmienne warunki powstania i rozwoju Związku na trzech różnych terenach: Lubelszczyzna, obszar t. zw. „Gubernatorstwa" i ziemie wyzwolone na zachodzie, 3) trudności gospodarcze i organizacyjne (szczególnie spółdzielcze).

Wniosek może być jeden tylko. Mieści się on w pięknym słowie SAMOPOMOC, które jest oficjalnym tytułem organizacji. Tak jak chłop wykonał reformę własnymi rękami, tak zrobi rzecz nierównie ważniejszą: zbuduje i utrwali największą swoją organizację. Każda gmina niech organizuje według swych potrzeb, jak umie, jak może! Niech przykładem będzie nam Kamieńczyk, ta niezwykła wioska, samodzielna, twórcza komórka społeczna. Związek obejmuje wszystkie sprawy chłopskiej wspólnej roboty — a gdy się ją robi samemu, to tworzy się własne sposoby, które Związek potem przejmie, obejmie, wchłonie! Taka musi być nasza SAMOPOMOC!!!

„Chłopi", 20.III 1945 r.

E. RUBINSTEIN

Walka o ziemię pod zaborem pruskim

Historia narodu polskiego pod zaborem niemieckim to historia kolonizacji polskich ziem, wzmagającego się bezustannie wyzysku gospodarczego i niewoli politycznej. Władze pruskie utopiły w potokach krwi powstanie 1848 r. W ciągu wielu dziesięcioleci rabowały one bez litości kraj cały. Jeszcze bezwzględniejsze stało się niemczenie polskich ziem zachodnich i ich wynaradawianie, kiedy Prusy stanęły na czele krwią i żelazem zjednoczonego Imperium Niemieckiego. „Kulturkampf" niósł ze sobą dalsze zaostrzenie się polityki antypolskiej. W latach 70 zeszłego stulecia w Niemczech hohenzollernowskich wezbrała nowa fala prześladowań kultury, mowy i szkoły polskiej. Bismarck obsadził Niemcami wszystkie posady państwowe, szkolnictwo i sądy. Jednocześnie wzmogła się kampania rugowania Polaków z ich ojcowizny. Już w 1886 r. została wydana ustawa „o udzielaniu pomocy osadnikom niemieckim w Prusach Zachodnich i w Poznańskiem". Jednocześnie utworzona została specjalna Komisja Kolonizacyjna, której fundusze stanowić miały „na początek" 100.000.000 marek. W latach następnych, a zwłaszcza na początku XX wieku, w przeddzień pierwszej wojny światowej, w latach, kiedy urząd kanclerza Rzeszy piastowali kolejno Bülow i Bethmann-Hollweg, wynaradawianie ziem polskich nabrało cech wielkiego okrucieństwa.

Poważną rolę w zaostrzeniu się polityki antypolskiej grała szowinistyczna propaganda pangermanistów, wywierająca wielki wpływ na rządy pruski i cesarski. Pangermaniści, reprezentujący najbardziej reakcyjne i agresywne elementy niemieckiego imperializmu, domagali się krzykliwie „bardziej zdecydowanej" i „bardziej intensywnej" kolonizacji i niemczenia ziem zabranych. W „Alldeutsche Blätter", piśmie „Związku Pangermańskiego", a także w szeregu innych pamfletów pangermańskich została ostro skrytykowana „flegmatyczna i niedopuszczalnie pokojowa" linia postępowania rządu niemieckiego w stosunku do ludności wschodnich kresów państwa.

Aby dowieść konieczności jak najbezwzględniejszego tępienia Polaków, dziennikarze niemieccy w licznych swych artykułach i przemówieniach z trybuny reichstagu, a zwłaszcza reakcyjnego landtagu pruskiego, usilnie propagowali walkę z „polskim niebezpieczeństwem". Próbowali oni dowieść, że Poznańskie, Górny Śląsk i inne odwiecznie polskie dzielnice były zawsze domeną Niemców. Próbowali oni nawet zaprzeczyć temu bezspornemu faktowi, że rdzenną ludnością tych terytoriów byli właśnie Polacy.

Jako jeden ze środków przyśpieszających kolonizację, pangermaniści propagowali popieranie emigracji Polaków i przeciwdziałanie ich powrotowi zza granicy.

Jeśli przyjrzymy się polityce rządu Bülowa, a także jego następcy Bethmann-Hollwega w przeddzień wybuchu wojny światowej, to przekonamy się, że źródłem ich postępowania były te same motywy nienawiści ku Słowiańszczyźnie i te same dążenia wielkomocarstwowe, które ożywiały działalność pangermanistów.

Choć Bülow głosił, że jest zwolennikiem „polityki pojednawczej" w stosunku do Polaków, to jednak „pokojowość" kanclerza sprowadzała się w znacznej mierze do form zewnętrznych, do pozorów. „Pruska polityka na granicach wschodnich dążyła zawsze do pogodzenia obywateli narodowości polskiej z państwem pruskim i narodem niemieckim" — pisał Bülow. — „Polityka nasza winna pogodzić Polaków z faktem przynależności do państwa pruskiego i do imperium niemieckiego". „W walce narodów zawsze jeden naród będzie młotem, a drugi kowadłem, jeden będzie zwycięzcą, a drugi zwyciężonym".

W celu zrealizowania swych planów kolonizatorskich rząd Bülowa posługiwał się szeroko „Związkiem pomocy Niemcom z okręgów wschodnich" (Ostmarkenverein), założonym w Poznaniu w 1894 r. i kierowanym przez pangermanistów. Członkowie tego stowarzyszenia byli powszechnie znani jako „Hakatyści" od inicjałów jego założycieli — berlińskiego bankiera. Hannemanna, magnata Kennemanna i Tiedemanna.

Jeszcze wówczas, gdy kanclerzem był Hohenlohe, fundusz przeznaczony na cele germanizacji „kresów wschodnich" został powiększony ze 100 milionów do 200 milionów marek; wkrótce po dojściu do władzy Bülowa w lipcu 1902 r. fundusz ten został podniesiony do 350 milionów marek, nie licząc 100 milionów, asygnowanych osobno przez rząd pruski na zakup lasów i majętności ziemskich. Nie bacząc jednak na wszystkie wysiłki Komisji Kolonizacyjnej, nie bacząc na prześladowania Polaków przez władze pruskie, rezultaty działalności tej komisji okazały się nader nikłe. Głównym zadaniem kolonizacji było wywłaszczenie rolnika polskiego i przekazanie jego ziemi „niemieckim kolonistom". Ilość ziemi jednak, która przeszła do Niemców, była znacznie mniejsza od tej ilości, jaką jednocześnie nabywali Polacy. Według danych oficjalnej statystyki pruskiej w Prusach Zachodnich i w Poznańskiem, w ciągu dziesięciu lat — od 1896 do 1906 r. — Polacy kupili o 75,4 tysięcy hektarów ziemi więcej niż Niemcy. Tylko 29% ziemi, kupionej przez rządową Komisję Kolonizacyjną w ciągu tych lat, nabyte były u Polaków — resztę, ponad 2/3, komisja zmuszona była wykupić od... obszarników niemieckich.

Aby dobrze zrozumieć te dane, należy uprzytomnić sobie niektóre ważne momenty rozwoju stosunków agrarnych na obszarach wschodnich Niemiec pod koniec XIX wieku.

Przed końcem ubiegłego stulecia kolonistom niemieckim udało się osiągnąć w Poznańskiem i Prusach Zachodnich znaczne rezultaty. Jeszcze w roku 1848 w Wielkim Księstwie Poznańskim 61,1%, tj. 948.000 ha z ogólnej ilości 1.554.000 ha wielkich posiadłości ziemskich należało do Polaków, zaś tylko 38,9% (605.000 ha) — do obszarników niemieckich i do państwa. Około 1886 r. do wielkich obszarników niemieckich należało już 1.052.000 ha, podczas gdy w ręku polskich obywateli ziemskich pozostało tylko 640.000 ha. Tak więc Polacy w ciągu krótkiego stosunkowo okresu 25 lat (od 1861 do 1885 roku) stracili 293.378 ha. Na początku lat 90 zniżenie cen na zboże, powstałe wskutek kryzysu agrarnego, brak i drożyzna rąk roboczych spowodowały, że cały szereg większych posiadaczy ziemskich znalazł się w przededniu bankructwa.

Przeciwko naciskowi rządowej machiny niemieckiej konsolidują się w końcu wszystkie siły narodu polskiego.

Wielką rolę w walce o ziemię odegrały w Poznańskiem banki parcelacyjne i liczne związki chłopskie oraz kooperacje, które powstały w 80 i 90 latach. Gdy rolnik polski, zagrożony ruiną, ogłaszał, że sprzedaje swe posiadłości, organizacje te przeprowadzały parcelację gruntu i sprzedaż działek po cenie częstokroć bardzo wygórowanej, ale na kredyt, małorolnym chłopom polskim.

Aby zahamować ten proces parcelacji, rząd pruski wydał w czerwcu 1904 r. ustawę, zakazującą kupna ziemi w Poznańskiem i Prusach Zachodnich bez specjalnego zezwolenia odpowiedniej władzy na budowę domów mieszkalnych oraz budynków gospodarskich. Tak więc chłop polski, kupujący kawałek gruntu, zostawał pozbawiony dachu nad głową.

Wówczas chłopi starają się kupować od Niemców działki już zagospodarowane, albo stawiają na nowonabytej szałasy lub lepianki, ściągając na siebie prześladowanie żandarmerii pruskiej. W tym okresie w całym zaborze niemieckim ogromną popularnością cieszył się swoisty protest przeciw tej ustawie

antypolskiej robotnika folwarcznego Drzymały.

Kiedy wyniki pracy Komisji Kolonizacyjnej za przeciąg dziesięciu lat (od 1896 do 1906 r.) zostały podsumowane, Hakatyści poprowadzili energiczną kampanię przeciwko „niedołężnej polityce rządu", wysuwając jednocześnie hasło przymusowego wywłaszczania Polaków. Było to wypowiedzenie wojny jeszcze okrutniejszej od tej, jaką rząd pruski prowadził od chwili rozbiorów ze społeczeństwem polskim, było to w gruncie rzeczy wyjęcie Polaków spod opieki prawnej.

W tej tragicznej dla kraju chwili Henryk Sienkiewicz napisał list otwarty do wszystkich przedstawicieli literatury i sztuki Europy i Ameryki, prosząc, by wypowiedzieli się w sprawie ustawy agrarnej, którą, idąc na rękę reakcji pruskiej, szykował rząd niemiecki. W odpowiedzi na ten list prasa zagraniczna umieściła liczne protesty przeciwko uciskowi mniejszości narodowych w Rzeszy.

Wbrew jednak międzynarodowej opinii postępowej, w październiku 1907 r. ustawa o wywłaszczeniu Polaków została wniesiona na porządek dzienny obrad landtagu pruskiego. Ustawa ta przewidywała przekazanie Komisji Kolonizacyjnej 400 milionów marek z funduszów państwowych. Paragraf 13 projektu głosił, że w tych dzielnicach, gdzie ochrona zagrożonej ludności niemieckiej wymaga powiększenia niemieckiej własności ziemskiej — państwu przyznaje się prawo przymusowego wywłaszczania polskich posiadaczy z ich gruntu.

Podczas debat nad projektem ustawy konserwatysta Oldenburg wygłosił antypolską mowę pogromową: „Jesteście obywatelami pruskimi od 136 lat, ale wciąż jeszcze powtarzacie: możecie zniemczyć nasze doliny, ale nasze dusze —nigdy! Skoro nie oddajecie nam swych serc — zmuszacie nas, byśmy zabrali wasze ziemie! W rzeczy samej, konieczne jest, abyście mieli pruskie serca, gdyż takie państwa jak Prusy i Rzesza Niemiecka, granice których są wiecznie zagrożone, nie mogą istnieć w atmosferze ciągłego strachu, że w razie zmian politycznych w Rosji lub Austrii powstaną zaburzenia wśród ludności i to być może w takiej właśnie chwili, gdy nasza broń skierowana będzie przeciwko wrogowi zewnętrznemu... Musicie pamiętać o tym, że perspektywy na powstanie Królestwa Polskiego znikły dla was na zawsze! Macie przed sobą Państwo Pruskie, które nie zakończyło jeszcze swej misji dziejowej".

Przyjęcie ustawy o wywłaszczeniu Polaków wywołało ogromne rozgoryczenie wśród ludności polskiej. Ustawa ta wywołała wielkie oburzenie także zagranicą: Polacy Austro-Węgier i Królestwa Polskiego, a także szeregu innych państw, przeprowadzili kampanię protestu przeciw wprowadzeniu w życie tej „ustawy wyjątkowej przeciw Polakom".

Jakiż był rezultat działalności Komisji Kolonizacyjnej w ciągu 3 prawie dziesięcioleci, od chwili jej ukonstytuowania się aż do wybuchu pierwszej wojny światowej?

Rząd pruski wydał przez ten czas na kolonizację swych kresów wschodnich sumy ogromne: już w roku 1910 fundusze Komisji Kolonizacyjnej dosięgły 688,5 milionów marek, w chwili zaś wybuchu wojny światowej wynosiły one miliard marek. Jednak olbrzymie wydatki Komisji, środki, które państwo otrzymywało dzięki niesłychanemu przykręceniu śruby podatkowej i zwłaszcza dzięki podatkom, ściąganym z tej samej ludności polskiej, która była właśnie obiektem i ofiarą kolonizacji — nie znalazły usprawiedliwienia nawet w oczach inicjatorów i propagatorów polityki antypolskiej.

W ciągu 25 lat swej pracy Komisja Kolonizacyjna nadała ziemie zaledwie 18.127 osadnikom niemieckim. Około 5.000 spośród nich mieszkało i przedtem na tej ziemi, co zmniejszało ilość nowych kolonistów niemieckich do 13 tysięcy rodzin.

Tak więc rezultaty polityki kolonizacyjnej sprowadzały się przeciętnie do osadzania na ziemiach polskich po 500 kolonistów w ciągu roku.

Powiększaniu się liczebności ludności niemieckiej w zaborze pruskim towarzyszył dość znaczny przyrost ludności polskiej. Wbrew represjom ze strony administracji, wbrew prawom nadzwyczajnym — ludność polska w Prusach Zachodnich zwiększyła się od 1890 do 1910 r. o 735 tysięcy.

Co się zaś tyczy niemieckiego stanu posiadania na tych obszarach, to nawet sama Komisja Kolonizacyjna w swym memorandum, złożonym w landtagu pruskim, musiała przyznać, że z ogólnej ilości 385.485 ha ziemi kupionej jeszcze przed 1910 r. — 274.546 ha były kupione u niemieckich posiadaczy ziemskich i tylko 110.914 ha — u polskich; innymi słowy, 71,3% nowonabytej ziemi było już przedtem własnością Niemców.

Ponadto, jednocześnie z przechodzeniem ziem polskich w posiadanie Komisji Kolonizacyjnej, miał bezustannie miejsce proces odwrotny — zwiększanie się polskiej własności ziemskiej dzięki skupywaniu ziemi przez polskie banki i kooperatywy oraz parcelację. W ostatecznym wyniku rolnicy polscy nabyli znacznie więcej ziemi niż sprzedali.

Komisja landtagu pruskiego, referując na początku 1913 r. wyniki kolonizacji, zmuszona była stwierdzić, że nawet w okresie tak krótkim, jak 1896—1912 r. w Poznańskiem i na niemieckich kresach wschodnich Polacy nabyli o 103.753 ha ziemi więcej niż Niemcy.

Co było przyczyną tak mizernych rezultatów polityki kolonizacyjnej rządu pruskiego? Jedną z głównych przyczyn bankructwa kampanii kolonizacyjnej w Polsce był zacięty opór całej ludności, z jakim się ta kampania spotkała. Wielką rolę w tej walce odegrały wszelkiego rodzaju kooperatywy oraz związki chłopskie.

Z drugiej zaś strony do porażki niemieckiej polityki osadniczej przyczynili się sami Niemcy, którzy nie tyle nabywali, ile sprzedawali za ogromne pieniądze swoje ziemie Komisji Kolonizacyjnej.

Zdarzało się nieraz, że ci sami junkrzy pruscy, którzy zdążyli już sprzedać Komisji swoje majątki, otrzymywali znowu „nadziały" osadnicze. „Sprawa narodowa" przekształciła się w ręku obszarników i bogatego chłopstwa niemieckiego w narzędzie wyzysku i grabieży własnego państwa.

W rozpatrywanym przez nas 25-leciu cena na ziemię wzrosła więcej niż dwukrotnie. Potem, w ciągu całego okresu przedwojennego, cena na ziemię zwiększała się nieustannie. Według danych oficjalnych przewodniczącego komisji budżetowej landtagu pruskiego podniosła się ona do 1400 marek w 1912 r., i do 1821 marki w roku 1913.

Ta gorączka spekulacyjna i ogromna haussa cen na ziemię znacznie pogarszała i tak już smutny los chłopa małorolnego i średniorolnego, zmuszonego dokupywać sobie ziemię, gdyż zwiększała obciążenie gospodarstwa chłopskiego, jego uzależnienie od obszarnika i lichwiarza.

Jednocześnie z niesłychaną grabieżą ziem polskich cesarski rząd hohenzollernowski przystąpił do tępienia polskiej kultury.

Już poprzednio wzmiankowaliśmy o prześladowaniu mowy polskiej i szkoły polskiej, zapoczątkowanym przez Bismarcka. Chociaż specjalne rozporządzenie ministerstwa pruskiego z dnia 25 listopada 1865 r. głosiło uroczyście, że „punktem wyjścia nauczania i kształcenia wszystkich dzieci, włączając tu także dzieci mówiące nie po niemiecku, musi być język ojczysty dziecka", obietnice te poszły wkrótce w zapomnienie. Aby zachęcić niemieckich nauczycieli do „obrony ojczyzny", tym, którzy wykazali się większą gorliwością podczas niemczenia szkoły polskiej, wydawano specjalne premie pieniężne w wysokości 100 marek. Aby zasłużyć na te nagrody, nauczyciele robili wszystko, co tylko było w ich mocy dla usunięcia języka polskiego ze szkoły, nie cofając się nawet przed biciem tych uczni, którzy opierali się niemczeniu.

Wielkie wzburzenie wśród ludności wywołały rozporządzenia rządu z 1900 i 1906 r. o obowiązkowym posługiwaniu się językiem niemieckim na lekcjach religii w szkołach powszechnych, do których to szkół uczęszczały przeważnie dzieci polskie.

Sytuacja zaostrzyła się jeszcze bardziej, gdy w r. 1906 zostało wydane rozporządzenie o obowiązkowym nauczaniu w języku niemieckim już nie tylko w starszych, ale i w początkowych klasach szkoły powszechnej. W odpowiedzi na to w październiku 1906 r. wybuchł strejk szkolny, trwający kilka miesięcy. Akcja strejkowa ogarnęła kilkadziesiąt tysięcy uczniów. Rząd pruski zastosował do dzieci biorących udział w akcji i do ich rodziców surowe represje. A gdy w okresie największego nasilenia akcji, w grudniu 1906 r., szereg posłów polskich i członkowie partii centrum wystąpili w reichstagu z interpelacją, Bülow i przedstawiciele prawicy odmówili interwencji, motywując to tym, że kwestia szkolnictwa polskiego jest „czysto pruska" i dyskusja nad nią w reichstagu oznaczałaby wtrącanie się do wewnętrznych spraw Prus.

W swej walce z kulturą polską rząd pruski nie ograniczył się jedynie do zakazu nauczania w języku polskim: usuwał on planowo mowę polską z przewodu sądowego, z biur administracyjnych, ze wszystkich dziedzin życia społecznego. Polakom-urzędnikom państwowym zabraniało się mówić po polsku nie tylko w czasie pracy, lecz nawet u siebie w domu.

Prześladowanie języka polskiego i kultury polskiej wzmogło się jeszcze, gdy w 1907 r., podczas wyborów do reichstagu, zwyciężył reakcyjny, „hotentocki" blok Bülowa, skierowany przeciwko robotnikom i mniejszościom narodowym Rzeszy. W kwietniu 1908 r. rząd Bülowa wydał ustawę o związkach i zebraniach, zabraniającą używania mowy innej niż niemiecka na zgromadzeniach publicznych. Ustawa ta przyjęta prawie jednocześnie z pruską ustawą o wywłaszczaniu Polaków mierzyła przede wszystkim w ludność polską zaboru pruskiego, stanowiącą większą cześć nie niemieckiej ludności Rzeszy.

Pruska polityka wywłaszczania i wynaradawiania ludności polskiej wywołała wśród szerokich warstw narodu ogromne rozgoryczenie i nienawiść do zaborców. Nawet redaktor „Preussische Jahrbücher" — Delbrück zmuszony był przyznać, że polityka ucisku narodowościowego przyczyniła się do tego, że nienawiść do „cywilizowanych" Niemiec stała się powszechna i zaszkodziła ogromnie „prestiżowi międzynarodowemu" kajzerowskich Niemiec.

„Naród niemiecki—pisał Delbrück jesienią 1913 r. — jest najmniej lubianym narodem na świecie i to nie zazdrość jedynie, na którą tak chętnie powołują się u nas — sprawia, że inne narody spozierają na nas z niechęcią. Nasza wadliwa polityka narodowościowa — oto jedna z ważniejszych przyczyn tej powszechnej nienawiści. Polacy i Duńczycy krzyczą o nas na całym świecie. Wszędzie, nawet w Ameryce, prowadzą oni nagonkę przeciw barbarzyńskiemu, żandarmskiemu reżymowi państwa pruskiego".

Polityka ucisku narodowościowego przyczyniła się do szerzenia się wśród ludności zaboru pruskiego ruchów niepodległościowych. Ruchy te przybierały najróżnorodniejsze formy. W dziedzinie ekonomiki — to walka o ziemię, walka z niemieckim osadnictwem, a także bojkot gospodarczy, a w dziedzinie oświaty — wystąpienia przeciwko niemieckiej prasie i szkole, walka o nauczanie w języku polskim i o rozwój narodowej kultury polskiej.

Przeciwstawianie się uciskowi narodowościowemu było jedną z najważniejszych przeszkód w przeprowadzaniu planów kolonizacyjnych Niemiec hohenzollernowskich.

Klęska Niemiec w roku 1918 na krótko tylko położyła tamę imperialistycznym planom niemieckich kolonizatorów. Tamę tę zerwała wzbierająca fala hitlerowskiego faszyzmu. Gdy wraże dywizje pancerne zalały w 1939 roku ziemie polskie, gdy administracja terenów wcielonych do Rzeszy i Generalnego Gubernatorstwa wywłaszczała i tępiła chłopów polskich i znęcała się nad kulturą polską — było to tylko wzmożeniem i wyciągnięciem wszystkich konsekwencji z tradycyjnej linii politycznej rządów pruskiego i cesarskiego. I o tym właśnie, że nie była to tylko doraźna improwizacja hitlerowska, pamiętać należy.

Teatry moskiewskie

II. TEATR MAŁY

(REALIZM SPOŁECZNY)



Art. Jabłoczkina w „Wilkach i owcach"

Po dziś dzień artyści nazywają Teatr Mały „uniwersytetem". Nazwa ta pochodzi jeszcze z drugiej połowy XIX wieku, kiedy młodzież uniwersytecka i postępowa inteligencja grupowała się wokół teatru i jego artystów, chłonąc nowe myśli i idee, tępione przez carat. Tu podziwiał Stanisławski, młody, rozpoczynający dopiero pracę artysta, realistyczną tradycyjną szkołę genialnego aktora i reżysera Szczepkina, tu wychowała się cała plejada znakomitych aktorów, z których Moskwa jeszcze żywo pamięta Leńskiego, Jużyna, Leszczkowską, Fiedotową, a przede wszystkim wielką Jermołową.

Ale był to uniwersytet nie tylko dla artystów i reżyserów. Całe pokolenia zdobywały w nim wiedzę, jakiej nie mogły dawać ówczesne oficjalne katedry ani podręczniki: zdobywano tam wiedzę o sobie, prawdę o własnym społeczeństwie.

Na deskach Teatru Małego pojawiła się po raz pierwszy galeria typów moskiewskich kupców, obrastającego w pierze mieszczaństwa, podupadającej i ustępującej miejsca burżuazji — arystokracji rodowej. W świetle rampy ukazał się mechanizm walki społecznej, jak go pojmowała komedia Ostrowskiego, w której charaktery i sytuacje wyrastają na materiale z dnia powszedniego rosyjskiego bytu mieszczańskiego.

Jeśli Ostrowski dla Małego Teatru nie był tym, czym Czechow dla Mchatu — oblicze artystyczne nadał mu już ojciec rosyjskiego realizmu scenicznego Szczepkin — to jednak przyczynił się do utrwalenia owej tradycyjnej linii rosyjskiego klasycznego realizmu, zasilając teatr repertuarem o treści, mającej źródło w otaczającym życiu. Będąc tego teatru duchowym, a przez pewien czas i rzeczywistym nauczycielem — kierownikiem szkoły dramatycznej przy Teatrze Małym, Ostrowski pokazał galerię barwnych charakterów, działających w warunkach wielkich i zasadniczych przesunięć społecznych. Protest przeciwko ówczesnym warunkom społecznym Ostrowski wyrażał, wyposażając swoich bohaterów w jakąś cechę zasadniczą. W odróżnieniu od bohaterów komedii Molierowskich, nie personifikuje Ostrowski właściwości psychicznych — chciwości, świętoszkostwa, skąpstwa, ale stwarza typy charakterystyczne dla warstwy, do której jego bohaterowie należą: dla kupców, mieszczaństwa, szlachty. Zachowanie się tych postaci demaskuje wilczą naturę jednych, ciemnotę, podstęp i fałsz drugich, staje się satyrą wymierzoną w ówczesny porządek. I te nuty, których cenzura carska wszelkimi sposobami starała się nie dopuścić do głosu, wywoływały żywy oddźwięk wśród postępowej publiczności. Nie tylko Stanisławski — Hercen, Bieliński i wielu innych wiązało z przeżyciami w Małym Teatrze swe najlepsze wspomnienia.

Naturalnie teatr charakteryzuje w pierwszym rzędzie nie repertuar, jest on tylko wskaźnikiem tendencji, a tendencją Teatru Małego była prawda. Teatr Mały był zawsze głęboko realistyczny i nigdy z swej drogi nie zbaczał. Krytyka rosyjska utrzymuje, że Mały Teatr był najbardziej realistycznym teatrem na świecie. Tego realizmu rosyjska scena nie mogła przejąć ani od francuskiego teatru patosu w tragedii i kunsztowności w komedii, ani od niemieckiego dramatu opartego na deklamacji czy komedii-grotesque — a Włochy wydały wprawdzie genialnego Salvini, Duze i paru innych wielkich aktorów, którzy wcielili na scenie wielką prawdę o człowieku, były to jednak tylko indywidualności wybujałe ponad przeciętność zespołu — wielkiego zespołu teatralnego Włochy nigdy nie posiadały. Realizm Małego Teatru to sztuka swoista, samorodna, prawdziwie rosyjska. To rosyjski realizm klasyczny, który „bytowszczyznie" Ostrowskiego zawdzięcza w znacznej mierze swój szlif społeczny.

Z wszystkich teatrów moskiewskich Mały Teatr najmniej przeżył łamańców i kryzysów i najszybciej zrozumiał swoją rolę w społeczeństwie porewolucyjnym.

Tradycja jest najczęstszym i bardzo trafnym jego określeniem. Być kontynuatorem Szczepkina i Jermołowej uważa się na tej scenie za największy zaszczyt artysty. Stąd ciągłość stylu i repertuaru. Po odejściu ze sceny Jermołowej czy Fiedotowej, Jabłoczkina, podejmując te same role i wlewając w nie własną indywidualną treść, nie kopiuje, ale stwarzając kreacje nowe, jednak nie wychodzi poza ramy wspólnego teatrowi stylu.

Nowa treść roli zależy w znacznej mierze od czynnika czasu. Inaczej brzmiała rola Łuki w „Na dnie" Gorkiego 40 lat temu, a inaczej dzisiaj w wykonaniu wciąż tego samego wielkiego artysty Mchatu Moskwina. Czterdzieści lat temu słowa pociechy starca Łuki mogły siać niezdrowe iluzje zasłaniające prawdziwą przyczynę staczania się ludzi na dno. Dziś, kiedy dla widza rosyjskiego treść tej sztuki jest już daleką, straszną przeszłością, dystans historyczny pozwala odczuwać Łukę nie tylko jako nosiciela szkodliwych idei, ale jako dobrodusznego, chytrego i przystosowującego się do sytuacji staruszka. Jego filozofia życiowa przestała grać rolę czynnika społecznego. Jeśli Mchat pokazuje jeszcze dziś sztukę Gorkiego, to po to, żeby podkreślić jego wydźwięk optymistyczny: ideę, że ludzie nawet na dnie nie tracą najgłębszej iskry człowieczeństwa. „Człowiek — to brzmi dostojnie". Słowa te zostały wypowiedziane właśnie w „Na dnie". Jest to zasadnicza linia Mchatu: wydobywanie z duszy ludzkiej jak najwięcej piękna i szlachetności, a z życia jak najwięcej perspektywy na przyszłość. Dzisiejszy człowiek sowiecki odrzuca wszystko, co było złe w przeszłości, co zostało przez historię jego kraju przezwyciężone, a wzbogacając swą wiedzę, umacnia swój pogląd na człowieka, jako odwiecznego nosiciela postępu i piękna. To jest optymizm budujący Mchatu, czyniący ze starych sztuk materiał odpowiadający wymaganiom czynnej, twórczej, dzisiejszej widowni sowieckiej, znającej swoje miejsce w świecie i historii.



Scena zbiorowa



Art. Zierkałowa w „Wilkach i owcach"

Teatr Mały jest teatrem tradycji. Jakże to, co było dobre i potrzebne dla publiczności przedrewolucyjnej, mogło stać się bliskie i zrozumiałe dla dzisiejszego widza? W jakiż to sposób Ostrowski, wyśmiewający stosunki społeczne drugiej połowy XIX wieku, może interesować i zachwycać człowieka epoki piatiletek i zwycięskiej wojny z faszyzmem?

W 1944 roku została wznowiona sztuka Ostrowskiego „Wilki i owce". Sztuka ta daje najlepszy może przekrój obyczajowości rosyjskiej ubiegłego wieku, który zresztą nie tylko w Rosji (wystarczy wspomnieć Francję Balzaka) był wiekiem apoteozy pieniądza. Pieniądz określał wszystko: życie i śmierć, stanowisko i miłość. Pieniądz podzielił społeczeństwo na wilki i owce. Nie praca, nie osobiste zasługi, nie umiejętność, ale silne kły, podłość, podstęp i bezwzględność decydują o człowieku. Dla człowieka XIX wieku pieniądz stał się demoniczną abstrakcją, a hobbesowska zasada homo homini lupus est, zdawało się, osiągnęła swoje apogeum. Jednolite uczucia więc musiał budzić bohater Ostrowskiego z „Na wsiakowo mudrieca dowolno prostoty" Głumow — podły, przewrotny, dążący za wszelką cenę do bogactwa; wstrętem na pewno przejmowała jego dwulicowość, pochlebstwo i kupczenie własnym sercem; godna jedynie potępienia była Czeboksarowa z komedii „Szalone pieniądze" za swój cyniczny stosunek do przyszłego męża — bogatego kupca. Dziś Teatr Mały przesunął punkt ciężkości z jednostek na społeczeństwo. Winny nie jest ani Głumow, ani Czeboksarowa. To są tylko ofiary. Carew-Głumow, to młody człowiek, obdarzony nieposolitymi zdolnościami, który w pogardzie dla otoczenia czerpie usprawiedliwienie dla swoich nieetycznych postępków. Młoda Czeboksarowa uważa, że jej piękność niedostępna jest dla pieniądza, — a gdy się okazuje, że bez pieniędzy jej uroda traci wszelką wartość, z pogardy dla „budżetu" daje się kupić bogatemu kupcowi. Na scenie dziś okazuje się, że Głumow nie jest wcale najgorszy, a kupiec, któremu Ostrowski nie szczędził zalet (w dobie naszego polskiego pozytywizmu uchodziłby za ideał), wcale nie jest lepszy od tej, którą kupuje. Abstrakcja pieniądza zostaje skonkretyzowana wilczymi

stosunkami w społeczeństwie, algebra banknotu zostaje rozszyfrowana sposobem zdobywania go przez jego właścicieli, a zasada homo homini lupus est zwężona zostaje do ram jednej tylko klasy, do klasy... wilków. Głafira („Wilki i owce") jest podupadłą szlachcianką, która zaznała życia w przepychu i salonach i nie chce marnować młodości w ubóstwie i niedostatku. Habit mniszki i opuszczone rzęsy — to mimikra w otaczającym ją kręgu drapieżnych zwierząt i pieniądza. Trzeba tylko sposobności, żeby zrzuciła z siebie owczą skórę i pokazała prawdziwą twarz. Głafira nie jest świętoszkiem jak Murzawiecka, z całą otwartością i szczerym cynizmem zabiera się do zdobycia bogatego męża. Ożywa, kiedy zrzuca z siebie habit, oddycha pełną piersią, do głosu dochodzi człowiek namiętnie kochający życie — to jej swoisty humanizm. Tak gra Zierkałowa. I ta interpretacja czyni ją tak bliską publiczności, że zapomina się o jej niezbyt szlachetnych celach i życzy się jej powodzenia w rozpoczętych łowach. Wiemy, że gruba zwierzyna, obszarnik Łyniajew, zaplącze się w końcu w sieci urody, a jeszcze bardziej błyskotliwej inteligencji wyrafinowanej i mądrej kokietki. Głafira ma do swojej podłości stosunek jasny. Ani na chwilę nie szuka w samej sobie ani u innych usprawiedliwienia. W swoim dążeniu jest konkretna i wolna. Ten, kogo oszukuje — to marny głupiec i tylko pieniądze dają mu wyższość nad nią. Czy to jest sprawiedliwe?! I gdy sztuka Ostrowskiego dobiega do punktu, w którym okazuje się, że wina leży właściwie po stronie tych, co posiadają pieniądze i bogactwo, jesteśmy już psychicznie przygotowani do sceny uwodzenia. Głafira nie tylko nie wywołuje w nas wstrętu, ale zachwyca rozumem, inteligencją i budzi nawet współczucie: jaka szkoda takiej kobiety dla tego ograniczonego bogacza! Pod względem aktorskim scena uwodzenia to arcydzieło. To koronkowa robota dialektyki owcy i wilka w jednej osobie: dziewczyny wkładającej na przemian to maskę mniszki, to obnażającej się wyrafinowanym gestem kokietki. Została użyta cała przebogata i jakże pomysłowa gama kobiecych wybiegów, ażeby się wreszcie znaleźć na kolanach bogatego Łyniajewa. Ale potem Głafira każe sobie zapłacić za wszystko. Kiwnięcie jej palca będzie dla jej ofiar rozkazem.

Zierkałowa gra swoją rolę świadomie i konsekwentnie. Jej Głafira to postać skomplikowana, rozwijająca się i przekształcająca w oczach widzów. Biedna dziewczyna w habicie mniszki, wyrafinowana kokietka, tryumfująca bogata dama, traktująca swego męża jako dodatek niezbędny do bogactwa, to etapy jednej myśli: świadomie cynicznego stosunku do ówczesnego zwierzęcego układu społecznego.

Zierkałowa należy do młodego pokolenia Teatru Małego. Drugim wybitnym przedstawicielem tego pokolenia jest artysta Iljiński. Rolę Apollona gra on bez krzty litości dla „bohatera". W przeciwieństwie do Zierkałowej nie obdarzył go ani jednym rysem, który wzbudziłby nasze sympatie. Pozbawił go nawet zewnętrznych walorów byłego oficera. Ten wiecznie pijany drapieżnik właściwie nie jest już szkodliwy. Zadowala się byle padliną. Dla niego wyciągnąć parę rubli od młodej, bogatej wdowy Kupawinej (którą mu przecież swatają!), to taka sama zdobycz, jak wyłudzić od służącego kieliszek wódki. Dostojna jego ciotka, Murzawiecka, uważa, że spadł on na dno nie z powodu braku poczucia godności, zupełnej atrofii moralnej, ale właśnie dlatego, że zęby sobie stępił. To degenerat — przedstawiciel wyradzającej się arystokracji. Ale warstwa ta nie chce zginąć bez walki. Jedni, jak Murzawiecka, uciekają się do fałszowania papierów, a drudzy, jak Bierkutow, przestawiają się na nowe tory i zajmują się operacjami handlowymi.

Przypomina się inna kreacja w innym teatrze, mianowicie Pribytkow, bogaty kupiec w sztuce Ostrowskiego „Ostatnia ofiara" w ujęciu artysty Mchatu Moskwina. Zwykle Pribytkow na scenie to człowiek bez skrupułów, brutalny, kupujący wszystko i wszystkich, to typ obleśnego starego bogacza. Moskwin, nie pozbawiając go ujemnych rysów, słusznał je, wydobył jego urok osobisty, stworzył postać pełną godności, której dostępne są wzniosłe uczucia, dumnie ukrywającą swą nieszczęśliwą miłość. Pogłębiona w ten sposób rola Pribytkowa czyni zrozumiałym postępowanie pięknej i szlachetnej Tuginej oddającej mu swą rękę. To do pewnego stopnia usprawiedliwia jej krok, ocalając w naszych oczach jej czystość moralną i psychiczną. Taka interpretacja wynika z ducha Mchatu: dążenie do wydobycia z duszy ludzkiej maksimum piękna i szlachetności. Jest to konsekwencja mchatowskiego realizmu psychologicznego. Już na przykładzie Głafiry, jako też Apollona Teatr Mały zademonstrował swą interpretację rzeczywistości — swój realizm społeczny. Postępowanie osób określają warunki i dlatego niepotrzebne jest tuszowanie złych, ani podkreślanie dobrych stron bohaterów. Co do wad, to się je potępia, jeśli nie w samym człowieku (Głafira), to ich przyczynę i źródło. Ideologia ta najpełniej dochodzi do głosu u Jabłoczkinej, grającej głównego wilka w sztuce Ostrowskiego — Murzawiecką.

Murzawiecka jest niejako symbolem ginącego świata arystokracji. Wbrew pozorom, mimo wielkopańskiego gestu i głośnego nazwiska rodowego, wdziera się do domu Murzawieckiej coraz bezwzględniej... nędza. Nie tylko przed tłumem dłużników, ale nawet przed własnym lokajem trzeba ukryć fakt pustej kiesy. Ale Murzawiecka jest dumna i nie chce nawet przed samą sobą przyznać się do bankructwa. Jest już stara, ale uważa, że ma dość siły, żeby walczyć. Jej pozorna świątobliwość nie przeszkodzi jej zawrzeć sojuszu z fałszerzem weksli. Jeśli nie uda się ożenić bratanka Apollona z bogatą wdową Kupawiną, to trzeba wydobyć od niej pieniądze fałszerstwem lub szantażem. Ale na owcę Kupawiną zastawia sieci i inny wilk, Bierkutow. On demaskuje Murzawiecką. I nagle w obliczu niebezpieczeństwa, w obawie przed odpowiedzialnością i karą dumna arystokratka wykazuje całą swoją nicość. Przed nami siedzi tchórz, drżący o swe życie. Murzawiecka okazuje się, mimo pozorów wielkości, przestępcą małego kalibru, tak samo jak Apollon. Arystokracja nie umie już popełniać nawet wielkich przestępstw. Jabłoczkina, tak samo jak Iljiński, daje obraz bezwzględnie ujemny, godny potępienia. Jest to wyrok zwycięskiej, naprzód idącej historii. Bez sentymentu i łezki nad ginącym światem.

Jabłoczkiną wiąże z teatrem sześćdziesiąt bez mała lat nieprzerwanej pracy. Na scenie przeżyła ona parę pokoleń teatralnych. I jeśli mówi się o tradycji teatru, to ona jest jej żywym wcieleniem, kontynuatorką Fiedotowej i Jermołowej. Tak samo jak dzisiejszy artystyczny kierownik teatru Sadowski (potomek słynnej „dynastii" Sadowskich), pochodzi ona z rodziny teatralnej: jej ojciec był reżyserem Aleksandryńskiego teatru w Petersburgu, a matka artystką, i był czas, kiedy matka i córka grały razem w jednym teatrze. Kiedy w 1937 r. Jabłoczkina święciła swoje 50-lecie pracy scenicznej, mówiono o niej jako o wyjątkowej artystce, godnie pielęgnującej tradycje Szczepkina i Jużyna, ale nie mniej podkreślano jej zasługi na polu pracy społecznej, jej związek ze współczesną rzeczywistością. I marzeniem aktorki, która zagrała w życiu ponad 300 ról tragicznych, komediowych, bohaterskich i charakterystycznych z repertuaru klasycznego i nowoczesnego, jest móc pokazać we współczesnej sztuce prawdziwy obraz nowej kobiety rosyjskiej, budującej socjalizm. „Wychowana na bohaterskiej twórczości Jermołowej, Leńskiego, Jużyna zawsze dążyłam do klasycznego repertuaru. Teraz marzę o sztuce współczesnej — życie sowieckie jest przepełnione nie spotykanym nigdzie heroizmem, który winien dostarczyć materiału dla twórczości dramatycznej... Wtedy teatr będzie mógł pokazać na scenie obrazy współczesnych bohaterów sowieckich i w ten sposób przynajmniej odpłaci wielkim budowniczym socjalizmu, którzy nie szczędzą swego życia, swego zapału, swego geniuszu, ażeby uczynić ludzkość szczęśliwą..."

Cytata ta tłumaczy nie tylko stosunek artystki do swej pracy. Tłumaczy też jak głęboki jest związek Małego Teatru z życiem i najlepiej świadczy o jego realizmie społecznym.

JERZY STARK

Dzieła malarstwa polskiego w Ameryce

Po ukazaniu się dwutomowego wydania polskiego „Historii Sztuki" Ryszarda Hamanna (Warszawa, 1934) tłumacz jej, dr Mieczysław Wallis, jako uzupełnienie wydał w oddzielnej broszurze wykaz dzieł sztuki obcej, znajdujących się w zbiorach publicznych Polski. Nie mniej oczywiście cenny i bardziej jeszcze może ciekawy byłby analogiczny spis dzieł sztuki polskiej, przechowywanych w muzeach krajów obcych, ale dotychczas, niestety, wykazu tego rodzaju nie doczekaliśmy się jeszcze.

O Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a głównie o danych w tej dziedzinie, dotyczących Nowego Jorku, w pewnej mierze informuje katalog wystawy „Malarstwa Polskiego XIX w.", urządzonej w zeszłym roku w jednym z najprzedniejszych muzeów amerykańskich — „Metropolitan Museum of Art" w Nowym Jorku.

Na wystawie tej zebrano kilkadziesiąt obrazów olejnych oraz kilka akwarel i rysunków 35 artystów polskich. Nie może tu być mowy o jakimś przekroju głównych etapów rozwoju malarstwa polskiego w zeszłym stuleciu, gdyż brakło tu całej plejady mistrzów pierwszorzędnych, jak Rodakowskiego, Piotra Michałowskiego, braci Gierymskich, Matejki, Podkowińskiego i wielu innych, bez których przegląd podobny jest zupełnie niewyczerpujący. Ale bądź co bądź szereg wybitnych dzieł głośnych i zasłużonych malarzy dostojnie reprezentował sztukę polską czasów niedawnych i dawał o niej pewne wyobrażenie.

Z czołowych artystów drugiej połowy ubiegłego wieku najbogaciej reprezentowany był Chełmoński, bo aż czterema dużymi płótnami. Poza tym katalog wymienia dwa obrazy Józefa Brandta. Wyczółkowski, Fałat, Jacek Malczewski („Śmierć wygnanki"), Jan Stanisławski oraz Wł. Tetmajer byli reprezentowani tylko jednym utworem każdy. Z malarzy poprzedniego pokolenia w Ameryce znalazło się sporo rzeczy Juliusza Kossaka, sympatyczny pejzaż Szermentowskiego, wnętrze kościoła A. Gryglewskiego i nawet rysunek Grottgera — popiersie chłopczyka, niezbyt przekonywująco zatytułowane jako portret młodego Napoleona. Z tejże grupy należy jeszcze wskazać na Wł. Bakałowicza z dwiema salonowymi postaciami kobiecymi i Chlebowskiego, którego egzotyczne kompozycje przypominały, że autor ich przez długi czas był malarzem nadwornym sułtana tureckiego.

Z wyjątkiem dwóch nazw instytucji muzealnych, katalog polskiej Wystawy Muzeum Metropolitańskiego nie podaje nazwisk właścicieli użyczonych dzieł sztuki. Przypuszczać należy, że większość to przedstawiciele Polonii amerykańskiej. Otóż samo przez się naprasza się pytanie, jaka tematyka pociąga najbardziej, jakiego rodzaju obrazy najczęściej są zakupywane przez rodaków na gruncie amerykańskim, w czym tam szczególnie gustowali kolekcjonerzy lub po prostu miłośnicy sztuki?

Obfite ilustracje katalogu dostarczają do pewnego stopnia odpowiedzi na to pytanie.

Nabywców amerykańskich widocznie niezbyt interesowały utwory o czysto kolorystycznym ujęciu motywu, gdyż na wystawie brakowało prawie zupełnie martwej natury, kwiatów, aktów, obrazów impresjonistycznych, nie mówiąc już o kierunkach bardziej lewych. Przeważały tu natomiast płótna tematyczne o motywach, przemawiających do widza od pierwszego wejrzenia. A więc do ulubionych malarzy należą autorzy obrazów patriotyczno-wojskowych, których utwory dają ujście tradycyjnemu zamiłowaniu Polaków do koni i jazdy, malarze przezwani w żargonie pracownianym „koniarzami".

O dzieje i daty historyczne potrącały również motywy kościuszkowskie z obrazów Zygmunta Ajdukiewicza, „Bitwa pod Grochowem" Wojciecha Kossaka, „Odwrót armii Napoleona z Rosji" Stanisława Witkiewicza, bardziej zresztą zasłużonego na polu krytyki artystycznej niż w zakresie malarstwa, i płótna Antoniego Piotrowskiego. Poza tym obrazy Juliusza Kossaka i Z. Rozwadowskiego o tak charakterystycznych typach ułanów i husarzy. Co zaś do koni, to dość wskazać na obrazy Chełmońskiego, Brandta, Wierusza-Kowalskiego, nie mówiąc już o autorach mniej znakomitych, gdzie tematy tego autoramentu są traktowane w sposób najrozmaitszy, indywidualnie i często z nietuzinkowym mistrzostwem.

Dobór ten dopełniały liczne krajobrazy, wśród których szczególną ciekawość budziły płótna Seweryna Bieszczada i Franciszka Streita, rzadko pojawiające się na wystawach krajowych. Uwagę też na siebie zwracały malowidła figuralne rzeźbiarza Wacława Szymanowskiego, autora warszawskiego pomnika Szopena, zniszczonego przez bestie hitlerowskie.

PAWEŁ ETTINGER

Obóz koncentracyjny w Potulicach

„Dziennik Zachodni" podaje straszliwe szczegóły o obozie koncentracyjnym w Potulicach koło Bydgoszczy:

Niedawno przybył do Zagłębia Dąbrowskiego drugi transport dzieci polskich, więzionych przez Niemców w obozie koncentracyjnym w Potulicach.

Dzieci w liczbie 100 przywieziono w dwóch ogrzanych wagonach, które uzyskano dzięki uprzejmości i pomocy wojskowych władz sowieckich.

Ob. Polak, główny opiekun dzieci, opowiada, że już w drodze do Będzina spotykali na różnych stacjach najbliższych krewnych, którzy, nie mogąc doczekać się powrotu swych dzieci, wyjeżdżali, ażeby w drodze już je powitać. Przywiezione z obozu dzieci pochodzą z powiatów: częstochowskiego, będzińskiego, zawierciańskiego, chrzanowskiego, jaworznickiego, żywieckiego i ze Śląska.

Pielęgniarka opowiada, że wśród dzieci znajdowało się półtoraroczne niemowlę, którego rodzice są nieznani. Dziecko to urodziło się w więzieniu oświęcimskim i nie wiadomo jakim sposobem przywiezione zostało do Potulic. Wyjaśnia ona, że do Potulic przywożono dzieci, których rodziców Niemcy wysłali przedtem — na tamten świat. W ten sposób przywieziono również małą Basię, liczącą wtedy 3 miesiące, której nazwisko tworzy numer wytatuowany na lewej nóżce, numer porządkowy więzienia oświęcimskiego. „Basia" — to imię dziecka, nadane mu przez inne dzieci. Dziecko to przywiezione zostało do Będzina, gdzie niewątpliwie znajdzie jakichś opiekunów. Przywieziono również do Potulic 8-letnią dziewczynkę na szczudłach. Straciła ona nogi w więzieniu oświęcimskim.

W Potulicach znajdowało się także około 700 dzieci rosyjskich z okolic Witebska, których rodziców Niemcy wywieźli do robót w kopalniach i fabrykach w Niemczech. Dzieci te uwolnione zostały przez Armię Czerwoną i odwiezione do miejsc rodzinnych. Około 15 dzieci rosyjskich znajdowało się jeszcze w obozie do ostatnich dni.

Pielęgniarka opowiada o karach, jakie stosowano do dzieci w obozie. Hitlerowcy za najmniejsze przewinienie wsadzali dzieci bez względu na wiek do zimnego, ciemnego bunkra, gdzie niejednokrotnie przebywały po kilka miesięcy. Jeden z chłopców, przydzielony do prac w ogrodzie, za zjedzenie pomidora skazany został na 3-miesięczne przebywanie w bunkrze, dziewczynka, która w kuchni obierała liście szpinaku, dostała sześć miesięcy bunkra za podeptanie kilku listków.

W obozie istniał jeszcze barak, w którym mieściło się tzw. „Himmelkommando". Gdy przedstawiciel „Himmelkommando" zjawiał się w baraku z kartką w ręku, wśród dzieci wybuchała prawdziwa panika, wiedziały bowiem, że oznacza to dla wielu z nich śmierć. „Himmelkommando" „opiekowało" się także starszymi więźniami obozu i całymi partiami posyłało ich na tamten świat.

Ofiarami „Himmelkommando" padali chorzy, których nie chciano leczyć, oraz „przestępcy", którzy trzykrotnie przebywali w bunkrze. W tych warunkach dzieci, nawet chore, szły na roboty, toteż niejednokrotnie, wycieńczone do ostatnich granic, padały bez przytomności. Wtedy notowano je w „Himmelkommando" i po pewnym czasie powiększały grono ofiar wyrafinowanych morderców.

Pielęgniarki opowiadają, że Niemcy, pilnujący obozu, byli pewni, iż stan dotychczasowy nie ulegnie zmianie.

Sprawiedliwości dziejowej jednak stało się zadość — obóz polski w Potulicach został zlikwidowany, a baraki zapełniają się Niemcami, którzy, jako niebezpieczni dla społeczeństwa, zostają izolowani.

Z walk o Poznań



Obstrzał umocnień niemieckich w mieście



Czołgi radzieckie na ulicach miasta



Unieszkodliwiona niemiecka „Pantera"



W wyzwolonym Poznaniu

REDAKTOR — WANDA WASILEWSKA

Adres redakcji i administracji: Moskwa, Bolszoj Czerkasskij pierieułok 2/10. Telefon redakcji i administracji: K 0-73-48